MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 24. WARSZAWA, 10 CZERWCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

WYBORY MIEJSKIE, ŻYDZI i KONSTYTUCJA

PRASA codzienna zanalizowała już wszechstronnie wyniki ostatnich wyborów miejskich, stwierdzając dość zgodnie klęskę obozu rządowego w większch miastach i pierwsze miejsce stronnictwa narodowego wśród opozycji, Masowe głosowanie robotników na listy narodowe, którego kulminacyjnym punktem jest bezprzykładne zwycięstwo łódzkie, dało pole do głębszych refleksyj na temat przyczyn tego zjawiska.

Te doraźne, dające się ująć w cyfry, wyniki przesłaniały prasie i szerszej opinji publicznej o wiele ważniejszy, bo w przyszłość sięgający rezultat ostatnich wyborów. Jest nim odrzucenie przez ludność miast platformy gospodarczej, wysuniętej i nader troskliwie propagowanej przez kierownictwo obozu rządowego, a przesunięcie rozgrywki na front polityczny, do czego dążyła opozycja, a przedewszystkiem stronnictwo narodowe.

Obóz rządowy poczynił duże wysiłki w kierunku „odpolitycznienia" kampanji wyborczej. Po wstępnych enuncjacjach przywódców B. B., którzy zalecali wybieranie do samorządu ludzi przygotowanych do pracy na tym terenie bez względu na ich przekonania polityczne i wprost powiadali, że można i należy wybierać nawet endeków,— nastąpiły usilne zabiegi starostów i lokalnych kierowników obozu rządowego, zmierzające do tworzenia list kompromisowych, bezpartyjnych czy międzypartyjnych. Bezpośrednim wynikiem tej taktyki byłoby uniknięcie głosowania wogóle — przez zgłoszenie jednej tylko listy. Gdzie zorjentowano się, że nie można narodowcom proponować spółki z żydami, tam występowano z koncepcją wspólnej listy polskiej w imię obrony polskiego stanu posiadania. W szeregu mniejszych miast narodowcy dali się wciągnąć do tej gry, nie wiedząc o tem, że jej aranżerowie działają w porozumieniu z żydami, dla których odrębne listy narodowe z wyraźną fizjognomją polityczną były znacznie groźniejsze od firmowanych przez sanację list ogólnopolskich.

Za przyjęcie przez opozycję platformy gospodarczej i opartego na niej kompromisu obóz rządowy gotów był zapłacić niemal każdą cenę. W rozmowach inaugurowanych przez inne pewne—często oficjalne—czynniki sanacyjne, proponowano np. narodowcom w niejednym wypadku większość mandatów na wspólnej liście, byle tylko uniknąć politycznego głosowania.

Tu trzeba nawiasowo wspomnieć, że pogląd na ostatnie wybory nie był w sferach kierowniczych sanacji jednolity. Za platformą gospodarczą i listami kompromisowemi orędował najbardziej p. Sławek, z którego zabiegami niebardzo harmonizowały bojowe odezwania się pp. Góreckiego i Kościałkowskiego, grożących „majem" w samorządzie. Oczywiście „miarodajne" było zdanie p. Sławka.

Jaki był cel tej niezwykłej u piłsudczyków taktyki, uznającej głośno kompromis — nawet z endekami?

Szło tu niezawodnie o złagodzenie lub nawet zlikwidowanie propagandy antyżydowskiej. „Współpraca" narodowców w samorządzie z żydami, zapoczątkowana wystąpieniem na wspólnej liście kandydatów, skompromitowałaby w masach ludowych znajdującą tam podatny grunt ideę Odrodzenia Polski.

To jednak nie wszystko. Poza interesem żydowskim i — w rozumieniu sanacji — państwowym działały tu jeszcze inne względy. Sztab kierowniczy obozu rządowego za wszelką cenę nie chciał dopuścić do tego, aby obecne wybory mogły uchodzić za polityczne wypowiedzenie się ludności. Niezależnie od tego, że nikomu nie jest przyjemnie otrzymać votum nieufności, choćby nieformalne i okolicznościowe, pamiętajmy, że w laboratorjum sejmowo-senackiem znajduje się projekt konsty-

tucyjny, za który obóz rządowy skutkiem znanej uchwały z 26 stycznia ponosi wzmocnioną odpowiedzialność. Twórcy tego projektu unikają, jak ognia, wszystkiego, co — choćby pośrednio — mogłoby być uważane za opinję ludności o tym projekcie i sposobie jego uchwalenia w sejmie.

Mogłoby się komuś wydawać, że wniosek powyższy idzie zadaleko. Trzeba jednak pamiętać, że z jednej strony projekt konstytucyjny jest przez wielu w obozie rządowym uważany za ostatni atut, a z drugiej, że oprócz nieprawidłowo przeskoczonej karjery sejmowej ma on na swej drodze inne jeszcze poważne przeszkody. W tym stanie rzeczy wyraźne wypowiedzenie się ludności miejskiej nie o chodnikach, latarniach i dziurach w moście, ale o całej polityce obozu rządowego jest faktem doniosłym, który będzie miał wpływ na dalszy rozwój stosunków politycznych wogóle, a może także i na losy projektu konstytucyjnego.

Nakoniec — najważniejsze. Ludność miast, mając do wyboru wygodną platformę „gospodarczą" i o wiele mniej wygodną polityczną, — wybrała dobrowolnie tą drugą. Wybrała walkę z jej koniecznemi ofiarami zamiast doraźnych korzyści, płynących z ugody. To przełamanie kwietyzmu i oportunizmu, szerzonego przez pewne czynnniki na podatnem podłożu kryzysu gospodarczego, jest najbardziej istotnym objawem obecnych wyborów, nie tylko obejmującym wszystkie inne ich wyniki, ale także zawierającym w sobie inną, lepszą przyszłość.

M. KOZŁOWSKI

INTELIGENCJA A INTERESY NARODU

W OSTATNICH czasach omawiano w prasie[1]) dość szeroko sprawę inteligencji, która była ostro krytykowana, a nawet zaatakowano jej istnienie. Jeżeli jaki „klasowo" usposobiony „wytwórca" przeczyta w „burżujskiem" piśmie, że inteligencji jest zadużo i że jest ona nieproduktywna, t. j. niepotrzebna, a zatem będąca ciężarem dla narodu, to napewno dopowie sobie resztę, że im prędzej naród pozbędzie się jej, tem lepiej, a że to wiek XX i życie pędzi w szalonem tempie, więc... szkoda czasu i chleba.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie należy krytykować inteligencji, wpływać na zmianę jej zainteresowań, lub na podniesienie wykształcenia, czy zaradności życiowej. Nie wydaje mi się jednak słusznem degradowanie inteligencji, a tembardziej przygotowywanie nagrobka nawet dla tej części, która (słusznie czy niesłusznie) może być uznana za nadmierną.

1. Obecnie spotyka się już często twierdzenie, że inteligencji jest zadużo. Przyjmijmy narazie, że tak jest rzeczywiście, chociaż tego jeszcze nikt nie dowiódł, i zaraz postawmy sobie pytanie, jakiej warstwy społecznej jest zamało? Rolników — nie, bo ziemi już oddawna brakuje; przemysłowców, rzemieślników — nie, przecież wszystkich towarów mamy poddostatkiem, może aż zawiele na nasze środki; kupców, bankierów, pośredników — też nie, zaczęli wcześniej się likwidować od inteligencji; robotników nadmiar o tem wszyscy wiedzą ze stałej rejestracji bezrobotnych. Teraz wyobraźmy sobie, że część inteligencji (ten nadmiar) chce się zdeklasować, aby tylko zdobyć zarobek; w którą stronę ma się zwrócić, jeżeli na każde opróżnione miejsce jest kilku kandydatów?

Narzuca się wniosek, że w Polsce nie jest zadużo inteligencji, lecz zadużo ludzi wogóle. Już na szereg lat przed wojną światową wyjeżdżały z Polski setki tysięcy ludzi rocznie do Ameryki i do Niemiec (roboty sezonowe), a inteligencja również tysiącami emigrowała wgłąb Rosji i do innych krajów, bo nie znajdowała zajęcia w Polsce. Jakoś nikt wówczas nie twierdził, że inteligencji jest zadużo, ubolewano natomiast nad niepożądanem dla narodu opuszczaniem przez nią kraju; dziś wręcz odwrotnie.

Przy omawianiu nadmiaru ludzi nieproduktywnych (to zn. inteligencji) zestawiano go, mniej lub więcej wyraźnie, z takimże nadmiarem w jakimś zakładzie, czy przedsiębiorstwie, gdzie ludzi nieproduktywnych redukuje się; a że w odniesieniu do narodu można pozbyć się nadmiaru (drogą bezkrwawą) tylko przez emigrację, która obecnie jest tak utrudniona, więc ubolewa się nad... niemożnością emigrowania.

Wydaje mi się, że ta niemożność emigrowania to jednak nasze szczęście w nieszczęściu, bo inteligencja, chcąc nie chcąc, pozostanie w kraju, a wywołana ciasnota zmusi do ustępowania żydów, którzy są i skłonniejsi i zdolniejsi do wędrówek, zwłaszcza zabronionych.

Niska stopa życiowa i możliwe dalsze jej obniżanie się nie powinno nas przerażać. Że inteligent nie może chodzić na dancing, grać w totalizatora, pić drogich napoi i zajadać zagranicznych smakołyków — to małe, doprawdy, zmartwienie! Księgarnie, teatry będą musiały przystosować się do dochodów inteligencji, bo bez niej obejść się nie potrafią; a na chleb powszedni (niekoniecznie z masłem) i na jakieś ubranie (choćby z samodziału) zawsze wystarczy.

Należałoby nawet propagować niską stopę życiową, nietylko ze względu na obecną sytuację ekonomiczną, lecz i ze względów moralnych; pozatem człowiek mniej potrzebujący zdobędzie przewagę nad żydem, nierozumiejącym życia bez dorabiania się.

Ponieważ jednak znaczna część narodu (wieśniacy) zaszła już w tym kierunku daleko, a przytem zubożenie nie jest jedyną drogą wyjścia, można i należy wyszukiwać i usuwać przyczyny braku pracy — zarobku. Dużą ilość pracy, a olbrzymią wprost część dochodu społecznego zabierają nam żydzi. Pomimo wszelkich trudności, z jakiemi związana jest u nas sprawa żydowska, nie możemy ani na chwilę zapominać o samobronie w tej dziedzinie. Następnie powodem braku zarobków jest brak kapitałów na uruchomienie prac i w większym znacznie stopniu brak dziedzin dostatecznie dojrzałych (w znaczeniu handlowem) do włożenia w nie kapitałów, które bez nadziei zysku nie wyjdą z ukrycia.

[1]) Artykuł niniejszy, nadesłany nam z kresów wschodnich, należy do serji artykułów dyskusyjnych, o które prosiliśmy. — Red.

Bez względu na to, jakiemi drogami pójdzie gospodarka narodu, musi ona zmierzać do sprawiedliwszego podziału dochodu społecznego i sprawiedliwszego podziału pracy. Wydaje mi się nieuniknioną koniecznością zatrudnianie w wykonywanych pracach wszystkich mogących i chcących pracować, dzieląc jednocześnie i płacę na wszystkich zatrudnionych. Tak się dzieje już oddawna w rodzinach rolników, które powiększają się, a nie mogą usunąć nadmiaru ludzi, ani powiększyć warsztatu pracy, t. j. ilości morgów. Podobnie się dzieje i u inteligencji — gdy dorosły członek rodziny nie znajduje zarobku, to, rzecz oczywista, spadnie przeciętna dochodu na głowę rodziny. Bezrobotni inteligenci też żyją, choć marnie, dzięki pomocy krewnych, przyjaciół i t. p. z tą różnicą, że nie pomagają im, naogół, w pracy, co jest niezgodne z dokonywanym w drodze udzielanej pomocy podziałem zarobku. Jeżeli nie doszliśmy jeszcze do nadprodukcji dóbr konsumpcyjnych i usług, co może uchodzić za pewnik, to takie zwiększenie ilości zatrudnionych wyszłoby na dobre gospodarce społecznej. Dalsze skracanie dnia pracy przy obecnej niskiej stopie życia byłoby oczywiście niepożądane, bo zwiększyłoby tylko ilość próżnujących.

Gdybyśmy wreszcie przyjęli, że nie nadmiar inteligencji posiadamy, lecz nadmiar ludzi wogóle, to można dojść do następującego wniosku. Nadmiar ludzi równa się nadmiarowi czasu, niema zatem istotnych przeszkód do powiększenia okresu czasu zużywanego na naukę; w ten sposób warstwę oświeconą, czyli inteligencję, można powiększać w dalszym ciągu; ukończenie np. filozofji nie będzie koniecznie potrzebne ani budowniczemu, ani skrybie, ale naród zyska oświeconego obywatela.

2. Niedawno pojawiło się inne twierdzenie o inteligencji — nieproduktywna! Czy tak jest w istocie?

Robotnik fabryczny, majster, kierownik warsztatu są produktywni, dyrektor fabryki chyba też, a magazynier, kasjer, księgowy i t. p. tejże fabryki? Uznajemy ich za produktywnych, bo żadna fabryka nie obejdzie się bez nich. Ale jakże trudno niektórym uznać za produktywnego tego poniżanego skrybę (czytaj: urzędnika państwowego), pisującego naprz. listy do swych współobywateli z przypomnieniem, że czas już zapłacić należne podatki, albo obliczającego państwowe, społeczne, czy prywatne dochody i wydatki! Kiedyś tam, w zaczątkach cywilizacji ci piszący i liczący byliby nieproduktywni i dlatego ich wówczas nie było, ale w miarę rozwoju gospodarki i podziału pracy stawali się coraz bardziej potrzebnymi aż stali się niezbędnymi — i z tem trzeba się pogodzić, albo... wracać do epoki kamiennej. Jaka racja pozwala uważać za nieproduktywnego człowieka, który żyje z dochodu osiąganego za oddane usługi tak, jak lekarz, adwokat, architekt, nauczyciel, czy też posłaniec, lub stróż, których potrzeby i prawa do egzystencji nikt nie kwestjonuje? Sądzę że warto zastanowić się nad stopniem produktywności nprz. stolarza, którego wytwory w ciągu kilku lat nie znalazły nabywcy i skryby, którego list lub rachunek wysłano według przeznaczenia tegoż dnia, czy nazajutrz.

3. Jak potrzeby życia stworzyły inteligencję, tak też i regulują jej ilość. Przy obecnem skomplikowanem życiu (podział ciężarów publicznych, zdrowotność, porządek, oświata, opieka, komunikacja, rozrywki) ilość inteligencji musi być wielka; znaczniejsza redukcja jej groziłaby zaprzepaszczeniem dorobku, bo wypadłoby redukować jednocześnie różne dziedziny życia i zrezygnować z wielu wygód, jakie zdążyły zakorzenić się nawet u najuboższych.

Liczna inteligencja ma jeszcze i tę wartość, że jest zbiornikiem sił oświeconych, z którego korzystają niemal wszystkie warstwy i zawody.

Że inteligencja jest synonimem ubóstwa — to nic dziwnego, boć to przyrodzona właściwość, ale jednocześnie jest, niestety, synonimem niedołęstwa życiowego; z tem trzeba walczyć, szczególnie u młodszego pokolenia, ażeby przynajmniej w przyszłości inteligencja nie pozwoliła uważać się za pasierba, czy też przysłowiowego kozła ofiarnego.

ST. D.

POLSKA WOBEC AKCJI UNICKIEJ

(Dokończenie)

PRZEJDŹMY do następnego momentu. Poprzednio, *en passant*, podkreśliliśmy to szczególne stanowisko, jakie Kościół katolicki w świecie zajmuje. Bliższe rozpatrywanie tego faktu doprowadziło do wniosku, że przyczyną jego jest przedewszystkiem idealizm Kościoła katolickiego — jest dziedzina pracy Kościoła: służy on tylko i wyłącznie Bogu i doprowadzaniu do Niego ludzi. Stara się On o nasze dusze i obejmuje sferę najwyższych, najsubtelniejszych, najmniej ziemskich zainteresowań ducha ludzkiego. Można powiedzieć, że Kościół katolicki jest „uduchowiony", jest na tej wyżynie, której nie osiągnął żaden inny jakikolwiek kościół; oczywiście, że musi trzymać się ziemi, bo trzymają się jej ludzie, nie będący, jak wiadomo, duchami czystymi, lecz składający się, prócz duszy, również z ciała. Nie zdołało to jednak zmusić Kościoła do pełzania, nie ściągnęło Go na ziemię i nie pozbawiło Go w żadnym stopniu cechy idealizmu, tak dla Niego istotnej. Uprzytomnijmy sobie następnie, że żyjemy w dobie przeżywania się materjalizmu. Wojna światowa była pod tym względem punktem krytycznym, chociaż, jak wiadomo, zaczęło się to „przewartościowywanie wartości" poprzednio. Dziś wreszcie — dzięki Bogu! — powszechnie wzmaga się i potężnieje, coraz głębsza niechęć do materjalizmu w różnych formach i na różnych płaszczyznach. I o tem również nie trzeba i nie miejsce tu pisać, gdy już tylu bardziej powołanych temu zagadnieniu poświęciło uwagę i wystarczy się powołać. Oczywiście ten sam prąd ogarnął i Rosję — i tembardziej Rosję, że tam jest on reakcją nietylko na prawosławie, które — jak wszystkie frondy Kościoła katolickiego — było o wiele, wiele bardziej materjalistyczne, niż Kościół katolicki rzymski, ale także i przedewszystkiem jest naturalnym odruchem na bolszewizm, który przecież jest kwint-

essencją materjalizmu. Każdy chyba nieuprzedzony przyzna, że moment ten rzeczywiście nieżmiernie sprzyja dziełu unji; podłoże psychiczne z tego punktu widzenia przygotowane jest znakomicie.

Jeszcze możnaby dalsze wymieniać momenty, upoważniające do twierdzenia o korzystnej obecnie konjunkturze dla dzieła unji, ale wystarczą tu te, które wyżej nagromadziliśmy. Streśćmy je: Odbudowa Polski stwarza znowu ową podstawę, na której można oprzeć się przy przeprowadzaniu dzieła unji. Będzie ono łatwiejsze zarówno z tego względu, że niema już dawnej głowy prawosławia — caryzmu, jak i z tego, że podłoże psychiczne jest odpowiednie: naród rosyjski, odwracający się od materjalizmu, zawiedziony przez swych duchownych przewodników (których zresztą nigdy zbyt wysoko nie poważał), chętnie przyjmie wyciągające się ku niemu serdecznie dłonie tego Kościoła, który w chwilach zawieruchy dziejowej i przewrotu podstawowych dotychczasowych pojęć umiał w całej pełni utrzymać swój wysoki poziom i linję wytyczną.

* * *

Mógłby jednakowoż ktoś powiedzieć: opieracie się na fakcie, że dziś panuje bolszewizm. Ale co będzie, jeśli bolszewicy upadną?

Jest to zarzut słuszny i należy go rozpatrzeć.

Otóż możliwości są różne; skala ich jest również znaczna. Ale jedno jest pewne: nowa Rosja nie będzie Rosją przedwojenną, nawet gdyby wrócił caryzm. Wojna rosyjsko-japońska, wojna światowa, a przedewszystkiem bolszewizm przeorały głęboko duszę narodu rosyjskiego. Nie da się m. i. usunąć tak, od jednego zamachu, wzrastającej coraz bardziej i pogłębiającej się niechęci do materjalizmu. Zresztą lud rosyjski miał zawsze skłonność nawet do swoistego mistycyzmu. Również trudno będzie przywrócić chłopu rosyjskiemu zaufanie do cerkwi prawosławnej i popa; zbyt głęboko zostało ono poderwane, zbyt boleśnie zawiódł się mużyk na swym kierowniku duchowym.

— Tak — powie znowu ktoś — a jeżeli cerkiew odrodzi się?

Otóż przedewszystkiem mało jest na to widoków. A następnie nawet w takim wypadku nie będzie to już napewno dawna cerkiew carska. A w takim razie kto wie, czy nie ułatwiłoby to zadania?

Tak więc dochodzimy do wniosku, że położenie obecne stwarza dla dzieła unji konjunkturę rzeczywiście zupełnie nieprzeciętną. Tembardziej więc każdemu prawemu katolikowi zależeć musi na tem, by akcja nie utknęła na bezdrożach, by toczyła się torami wiodącemi do celu. Ta serdeczna troska jest nietylko zrozumiała, ale i chwalebna.

* * *

Jakież to drogi i do jakiego mają wieść celu?

Cel jest zupełnie jasny: wyraz „unja” pochodzi od „*unus*”, jeden. Unja zatem oznacza zjednoczenie. Ale to słowo może mieć rozmaitą treść. Różni ludzie w różnych czasach różnie też treść tę pojmowali. Byli tacy, którzy uważali, że unja, to nic innego, jak powrót sekciarzy na łono prawowitego Kościoła; żądali zatem bezwarunkowego poddania się schizmatyków, pod każdym względem, a więc poprostu przejścia na rzymsko-katolicyzm. Ale zato i tacy są w Kościele, którzy uważają, że powinno się stać odwrotnie: Kościół winien wyrzec się swych dogmatów, mianowicie tych, które ogłoszone zostały po rozłamie. Poprzednio już wspominaliśmy, że tego rodzaju tezy wysuwali np. ks. Maks ks. Saski i O. Palmieri, przyjaciele separatystów ukraińskich. Tak więc po tej samej stronie frontu reprezentowane mamy skrajne stanowiska: od unji do dualizmu, bo wspomniane tezy, to nic innego, jak dualizm. To ostatnie zapatrywanie, jak wspomniano, musieli autorowie odwołać, gdyż zostało ono przez Stolicę Apostolską potępione.

Polska, która sprawę znała dokładnie i zbliska, patrzyła realnie, pozostając w zgodzie naogół z Watykanem, którego żądania jednak przeważnie szły dalej, niż polskie, co czasem prowadziło nawet do rozdźwięków, np. za Władysława IV. Pogląd Polski krótko da się ująć w słowach, wyjętych z listu Władysława IV do różnowierców: „...nie reformować, ale *conciliare*” [1]). A przecież, jak wiadomo, Władysław IV był gorącym katolikiem. Ten pogląd nietylko podstawia treść pod pojęcie unji, ale również wskazuje drogę. A dróg tych i metod jest dużo. Wprawdzie zasadniczo są tylko dwie: jedna przez porozumienie, zatem niejako od góry, druga zaś bez porozumienia, *via facti*. Niemniej jednak prócz tych dwóch — czy może między niemi? — są i inne drogi.

Jakiejże użyć należy obecnie?

Odpowiedź wynika z sytuacji czy konjunktury — z tego położenia, o którem mówiliśmy poprzednio, że to, co dziś dzieje się za wschodnią granicą Polski, może równie dobrze utrwalić się w bolszewiźmie, jak i nawrócić do caryzmu — wraz z całą obszerną skalą rozwiązań między temi *extremami*. Z tem należy się liczyć i przy obieraniu dróg i metod dobrze o tem pamiętać.

Opisywać tu szczegółowo te metody byłoby rzeczą bodaj-że zbędną; natomiast można i trzeba podnieść pewne podstawowe momenty, o których przy tem wielkiem dziele koniecznie pamiętać należy.

Po pierwsze: w tej chwili porozumienie od góry jest niemożliwe; w przyszłości jednak... któż z nas wie, jak przyszłość będzie wyglądała? Czyż można zaręczyć, że stosunki nie ułożą się tak, iż tego rodzaju porozumienie będzie możliwe? Na wszelki — wszelki! — więc wypadek *via facti* winna być stosowana w ten sposób, by nie uniemożliwiała tamtego porozumienia, a nawet, by nie stwarzała dlań przeszkód.

Tu odrazu nasuwa się spostrzeżenie, że, jeśli akcja ma być dzisiaj prowadzona *via facti* w ten sposób, by zawsze było możliwe do zrealizowania porozumienie od góry, to my, Polacy, jesteśmy do niej predystynowani już z tego choćby powodu, że takie porozumienie już przeprowadziliśmy i jeśli tak można powiedzieć, „tkwiliśmy” przecież w dziele unji po uszy i bodaj-że nikt lepiej od nas nie potrafi się zorjentować, czy chwila jest odpowiednia. Powtóre jesteśmy dziś jedynem na świecie państwem, które mogłoby i chciało taką rolę wziąć na siebie.

---

[1]) L. Kubala. Jerzy Ossoliński. W rozdziale XI *(Colloquium charitativum)* cytuje K. wspomniany list za Kwiatkowskim. (Kwiatkowski 424 — *Vladislai IV ad Libellum Supplicem Responsum*).

Drugim podstawowym momentem jest sprawa — jeśli tak można powiedzieć — „neutralności” akcji. W dotychczasowych uwagach wystąpiliśmy przeciwko nadawaniu akcji unijnej pewnego określonego charakteru, objawłającego się np. m. i. w desygnowaniu do tego świętego dzieła jednostek, reprezentujących może nietylko wyłącznie interes Kościoła naszego, ale również może pewne orjentacje czy poglądy świeckie; dla przykładu wymieniony był czcigodny ks. wizytator Czarnecki. U nieznających stanu rzeczy, a nawet u zorjentowanych, tego rodzaju desygnacje niepotrzebnie mogą wywołać wrażenie, że idzie tu o nadanie tej akcji jakiegoś szczególnego charakteru, np. ukraińskiego, jakby dla realizacji imperjalistycznych zamierzeń niemieckich, a raczej pod ich suggestją. Nie obwijając w bawełnę, bo to byłoby szkodliwe, gdy idzie właśnie o szczerość, takie podejrzenia w świetle poprzednich uwag nie wydają się tak bardzo nieusprawiedliwione. W każdym razie lepiej, o wiele lepiej, byłoby, gdyby do nich nie stwarzano podstaw. Tem śmielej zaś można tego żądać, że nam, Polsce i Polakom, nie zależy i nie powinno zależeć na tem, by akcja ta niosła z sobą polonizację. Mimo tego nawet, że przecież chyba my, którzy dla tej wielkiej sprawy jeszcze przed rozbiorami tyle położyliśmy zasług, że my, jako naród i państwo, na którego ziemiach akcja ta ma się dokonywać, mielibyśmy chyba prawo poniekąd domagać się tego. Nie domagamy się tego i nawet nie życzymy sobie tego z różnych przyczyn. M. i. przedewszystkiem, jako szczerzy katolicy, pragniemy gorąco, by święte dzieło zjednoczenia pod jedną opieką następcy Chrystusa jaknajrychlej dokonało się.

Ale i z politycznego punktu widzenia również tego nie potrzebujemy się domagać. Nie miejsce tu szerzej o tem pisać, ale pokrótce wspomnieć można, że zejście się obu naszych sąsiadujących narodów, polskiego i rosyjskiego, na wspólnej platformie jednego Kościoła nie byłoby chyba złe, a skutki jego mogłyby być conajmniej pożądane dla obu narodów, które, im silniej o siebie mogłyby oprzeć się plecami, tem łatwiej mogłyby odeprzeć ewentualne ataki innych sąsiadów. Bo przecież tych ataków można się spodziewać — jeśli, powiedzmy, nie w tej chwili, to później. Nie mówiąc nawet o „żółtem niebezpieczeństwie”, już to, co w dziedzinie religji dzieje się w Niemczech, przy znanej strukturze psychicznej Niemców, może doprowadzić z czasem do zatargów, które w gruncie rzeczy będą miały to samo odwieczne tło, ale rozegrać się mogą na platformie religijnej. Jakąż bowiem piękną szatą gorliwości religijnej, nowej religji germańskiej, mogłyby być okryte zwyczajne dążenia imperjalistyczne! Znamy te rzeczy już z przed dziesięciu wieków. Na marginesie można tu zauważyć, że wiele i coraz więcej jawi się oznak przewrotu nietylko w dziedzinie gospodarczej, również w każdej chyba innej, a przedewszystkiem w duszy ludzkiej, i to w jej najgłębszych, jakjbardziej na pozór od życia zewnętrznego oddalonych przeżyciach. To tęsknota do absolutnego ideału, do Boga, przejawia się w tem odwróceniu się od panujących i narzucanych przez żydostwo i masonerję w ostatnich wiekach poglądów i wierzeń. W tem, co teraz powiem, może ktoś dopatrzy się jakby cynizmu, ale jestem od niego jaknajdalej, obserwując tylko trzeźwo życie. Otóż jestem przekonany, że najbliższe wojny będą napozór rozgrywały się na platformie religijnej. Cynizm tkwiłby tu w połączeniu wojen z odwróceniem się od ostatnio rozkładających życie ludzkości prądów a zwrotem do Boga. Nie jest to jednak cynizm, lecz trzeźwa obserwacja życia. Ludzie są ludźmi i walki zawsze będą, jak były od stworzenia świata. Tylko, zależnie od panujących w danym okresie prądów, zewnętrzne ich przyczyny raz będą takie, innym razem owakie. Istotą będzie zawsze niedoskonałość natury ludzkiej. I w dodatku dziś już ludziom tak jest źle po tych spustoszeniach, spowodowanych materjalizmem, że nic nie byłoby dziwnego, gdyby najbliższe walki toczone były o hasła idealne. Ale wróćmy do tematu.

Przejdźmy, pomijając inne, do momentu, który równie jest ważny jak poprzednie. Idzie o to, by akcję unijną prowadzili tacy, którzy jaknajdokładniej, jaknajwnikliwiej znają duszę narodu rosyjskiego. Nie trzeba tu chyba bliżej tego uzasadniać. Otóż nie ulega wątpliwości, że chyba my, Polacy, najbliżsi sąsiedzi narodu rosyjskiego, i pod tym względem na pierwszem stoimy miejscu. Dmowskiego rewelacyjne uwagi o państwie stepu same już dają gwarancję.

Już trzy powyższe momenty nietylko poniekąd określają nam podstawy akcji unijnej, ale także wcale wyraźnie wskazują, kto przedewszystkiem powołany jest do jej prowadzenia; dzieło to — uwzględniając zwłaszcza owe trzy momenty — winno spocząć na barkach Polaków, narodu i państwa polskiego.

Tak jest! To święte, olbrzymie dzieło powinniśmy przeprowadzić. Tylko... czyż można przypuścić, że zrozumienie okażą ludzie, albo sami wprost będący masonami, albo z nimi ściśle związani? Czyż możnaby im w ogólności tę akcję powierzyć? Odpowiedź jest jasna: nie! Nawet, gdyby chcieli, nie mogliby tej akcji poprowadzić. A z tego wynika jeden wniosek: akcję tę winien włączyć do swego programu obóz narodowy — ten obóz, który zarówno z racji swego nacjonalizmu, jak i katolicyzmu, jest do tego obowiązany; u którego te dwa „Izmy” złączone są ze sobą nierozłącznie, nawet mimo różności obrządków czy wyznań w Jego szeregach. Tylko ten obóz dorasta do tego zadania, tylko on zrozumie i odczuje całą wielkość i świętość sprawy.

* * *

Powyższe uwagi nie roszczą sobie pretensji nietylko do wyczerpania tematu, ale nawet do oryginalności pomysłu. Poprostu tylko miały na oku przypomnienie, że przed ustratą niepodległości, w okresach, w których misja dziejowa Polski była przez sterników naszego państwa głęboko rozumiana, unja stanowiła jeden z bardzo, bardzo ważnych punktów programu państwowego. Zastrzegając się zatem przeciwko ślepemu naśladownictwu, my, obóz narodowy, spadkobiercy polskiej myśli państwowej, nie możemy jednak przechodzić obojętnie obok dzieła unji. Nasz katolicyzm i nasz nacjonalizm nie pozwalają na to. Co więcej — nakazują nam ustosunkowanie się jaknajbardziej pozytywne. Uwagi niniejsze niech będą przyczynkiem, płynącym z głębi przekonania o słuszności i świętości sprawy i z wiary w Wielkość Polski.

ADAM ŚWIEŻAWSKI

Z PODRÓŻY DO WŁOCH

3. U KOLEBKI „NARODOWEGO-SOCJALIZMU"

TRUDNO jest pisać feljeton polityczny, skoro się widziało naród przez okres dziesięciu dni, a resztę dopowiadać trzeba z prasy i rozmów ze znajomymi. Jednakże ustrój Włoch to zbyt wielkie zjawisko w historji politycznej Europy, ażeby przejść nad nim do porządku dziennego.

Między bolszewizmem i faszyzmem jest niewątpliwie wiele analogji. U pewnego znajomego Polaka widziałem książkę o Stalinie p. t. *„Il fascismo nell'URSS"*. A więc twierdzą to sami zwoennicy *Regim*'u (pozareżymowej literatury we Włoszech nie ma). Faszyzm włoski w pierwszej swojej fazie był niewątpliwie ostrą przedewszystkiem reakcją przeciwko panującej we Włoszech anarchji: Sulla też maszerował na Rzym, by stoczyć walkę z „popolarem" Marjuszem. Przełomowi towarzyszyła scenerja nieco teatralna. Do rządu weszli dwaj książęta: „książę Zwycięstwa" i „książe Morza" t. j. marszałek Diaz i admirał Thaon de Revel, wodzowie armji lądowej i morskiej w erze Vittoria-Veneta. Diaz, taksamo jak Mussolini, pochodził z ludu. Historyczny jego komunikat o ukończonej wojnie został wyryty na murach „Pałacu Komunalnego" w Bolonji, na cześć jego wystawiono wspaniały sarkofag w kościele *Santa Maria delli Angeli* w Rzymie.

Ale w dalszym ciągu faszyzm zbliżał się coraz bardziej do klasycznych form „narodowego-socjalizmu". Etatyzm gospodarczy, kult państwa, *„Gleichshaltung"* całego życia publicznego, „planowa gospodarka", ukryta pod niewinną nazwą „korporacjonizmu", no i wielkie roboty publiczne, mające cel podwójny: zadośćuczynienia próżności narodowej i zatrudnienia mas.

Powstawała też nowa elita: d'Annunzio: włoski Żeligowski, co samowolnie zdobył Rjekę, a z fachu poeta i literat zdolny, lecz cyniczny — został księciem Montenevoso. Volpi, b. minister Skarbu który ratował lirę w ciężkich momentach dewaluacji (rok 1925) awansował na hrabiego Misuraty,Giuriati, Rocco, Mattei-Gentili weszli ostatnio do Senatu. Balbo, mianowany niedawno prokonsulem Libji — został pierwszym na świecie marszałkiem lotnictwa. Sekretarzem partji jest młody Achilles Starace, podsekretarzem spraw zagranicznych również młody Tryesteńczyk Suvich: ster partji odnawia się i odświeża. Byli tacy, co zaszli wysoko, a potem odeszli: głucho tak dziś o Farinaccim i Turatim, dwóch kolejnych sekretarzach partji faszystowskiej. Balbo też przeniesiony został z Rzymu do Libji.

Z parlamentem uporano się łatwo, chociaż trudniej, niż w Niemczech.

W wyborach w r. 1924 — które dały już absolutną większość faszystowską weszło do pałacu na Montecitorio sporo jeszcze „popolarów" i radykałów. Powstała secesja awentyńska, a w jej konsekwencji nowe tarcia wewnętrzne i szereg zamachów na osobę szefa rządu. Był to jednak w historji rządów faszystowskich okres jeszcze młodociany, młodości może później, ale w każdym razie młodości. Pamiętam, z jakim zapałem witano na ulicach kamiony z „czarnemi koszulami". Rok 1929 przyniósł już nową formę parlamentu i pojednanie z Watykanem.

Na parę dni przed naszym przyjazdem do Rzymu odbyły się nowe wybory plebiscytowe. Oddawano tylko dwa rodzaje kartek: z napisem „No" i z napisem „Si" (Nie i Tak). Jak wiemy z prasy „Si" głosowało około 10 miljonów „No" — 15 tysięcy. O tych wyborach krążą różne gadki: podobno Mussolini głosował „No". Według innych wersji, przeciwko „reżymowi" wypowiedzieli się rzymscy szoferzy, taksówek, ludzie — jak słychać — obdarzeni niesłychanym tupetem. Głosowali w ten sposób, żeby wyrazić swoje niezadowolenie z polityki samochodowej rządu. Jest to jednak przypuszczalnie tylko „kawał" polityczny, jakby się powiedziało w Warszawie. W mieście nie było już śladu po wyborach: nalepki „Si" znikły z murów ulicznych, konserwując się już tylko „za murami". Mussolini, wybrany jako przywódca 400 desygnowanych przez „Wielką Radę Faszystowską" deputowanych posłem do Parlamentu, dzieli spokojnie czas między Pałacem Weneckim i Villą Torlonia. A prasa zagraniczna lansowała pogłoski, że nowy parlament przyjmie nazwę „Komicji".

W połowie marca b. r. rozegrał się w Rzymie inny znamienny epizod historji powojennej. Był nim zjazd trzech premjerów: Mussoliniego odwiedził kanclerz austryjacki Dollfuss i prezydent ministrów węgierski Goemboes. To odnowienie *„Triplice"* obok całego szeregu niezmiernie doniosłych postulatów gospodarczych (o czem niżej) stanowiło także zaostrzenie się zarysowywującej się od pewnego czasu rywalizacji włosko-niemieckiej. Konstelacja europejska przesunęła się wyraźnie w ciągu ostatniego roku i przybrała nagół formy bardziej pokojowe. „Pakt czterech" zbliżył Włochy do Francji, stara nienawiść z Jugosławją nie ma już dziś takiego natężenia, jak przed trzema laty, Polska zawarła pakty z Niemcami i Sowietami. W tej atmosferze utrwalania się pokoju w Europie drogą nawrotu do konserwatywnych form przymierzy i porozumień przy zupełnem bankructwie idei briandowskich i Ligi Narodów — zaczęła się nagle ujawniać cicha rywalizacja między Mussolinim i Hitlerem. Przedmiotem sporu jest oczywiście Wiedeń, a pakt rzymski — policzkiem, wymierzonym przez „narodowo socjalistyczny" rząd Włoch" narodowo-socjalistycznemu" rządowi Niemiec.

O ile chodzi o stronę gospodarczą paktu rzymskiego, to należy wziąć pod uwagę, że jest on porozumieniem trzech państw z natury ekonomicznie ubogich, t. j. Włoch, dzisiejszej Austrji i okrojonych traktatem w Trianon — Węgier. Współpraca tych państw na polu gospodarczem, wzmocnienia ich stosunków handlowych — może przynieść pożądane zmiany na lepsze. Dla Włoch zagadnieniem kapitalnem jest problem Trjestu, który cierpi dotkliwie na brak zaplecza. Węgry i Austrja — to idealne zaplecze dla Trjestu, gdyż Jugosławja ma swój własny port — Susak na południe od Rjeki. Trjest cierpi ciągle na brak *„hinterlandu"*, a miałby warunki sytuacyjne ide-

alne (handel z Palestyną np.). Jedną z prób ratowania Triestu była słynna tranzakcja polska ze stocznią Cosulicha w Monfalcone polegająca na zamówieniu dwóch okrętów wzamian za dostawy węglowe.

Tak więc, „planowa gospodarka“ przenosi się z terenu jednego państwa na szereg państw innych i podobnie, jak powstawały i powstają kapitalistyczne kartele międzynarodowe, tak powstają i powstawać będą porozumienia gospodarcze państw, „gospodarowanych planowo“.

Rewolucja bolszewicka, rewolucja faszystowska, rewolucja narodowo-socjalistyczna w Niemczech i przewrót rooseveltowski w Ameryce — są czterema aktami tragedji powojennego świata. Załamanie się liberalizmu intelektualnego i demokracji parlamentarnej, załamanie się dotychczasowych form kapitalistycznych, kompromitacja umiarkowanej lewicy (afera Stawiskiego) — wszystko to przygotowało teren pod powstanie tworów nowych i nowych reżymów, mniej lub więcej odbiegających od klasycznego szablonu, dla którego najlepszą nazwę: narodowo socjalistycznego wynalazł Hitler.

Ruch narodowo-socjalistyczny nie jest ruchem *sensu stricto* prawicowym. Pozostała więc dawna prawica, konserwatyści. Niewątpliwie ta grupa ideowa, broniąca religji, etyki, nieograniczonego prawa własności i tradycji historycznych jest grupą sympatyczną. Ale jest ona rozbita, niezwarta i niezdecydowana. Jedni hołdują narodowym socjalistom, inni liberalizują, inni są zwolennikami restauracji monarchistycznej w krajach, gdzie jej nie ma. Grupa ta może odegrać rolę dziejową jedynie jako pożyteczny hamulec, powściągający zbyt nieokiełznane „nowych panów“ zapędy.

Takie refleksje nasuwają się podróżnemu, kiedy przechadza się po Via dell'Impero, depce historyczny żwir na Forum, lub na Piazza Venezia—może naraz objąć okiem: pamiętający najazd Gallów — Kapitol (o jakżeż zawsze aktualne „*Vae victis*“), siedzibę rządu — Pałac wenecki i wspaniały pomnik Wiktora-Emauuela.

4. „MOSTRA DELLA RIVOLUZIONE FASCISTA“

W dzisiejszym Rzymie przybyszowi rzucają się w oczy dwie zdobycze ery faszystowskiej: *Via dell'Impero* i Wystawa Rewolucji. Trzecia: *Foro Mussolini*'ego znajduje się za murami miasta. Są to twory nietyle ery faszystowskiej, ile lat ostatnich. Kiedy byłem w Rzymie przed czterema laty było o nich jeszcze zupełnie głucho.

Via dell-Impero, Via del Mare i Viale dell'Trionfo — stanowią kompleks wielkich arteryj, wznoszonych na miejsce ciasnych, brudnych, cuchnących, lecz uroczych uliczek. *Via dell'Impero* łączy Kolosseum z Forum Trajana i placem Weneckim, *Via del Mare* — Plac Wenecki z Pałacem Orsinich, *Viale dell'Trionfo* — wychodzi z pod Kolosseum i przechodzi pod łukiem Konstantyna.

Ulice te są wspaniałe. Zwłaszcza *via dell'Impero* — pod względem formy — przypomina najlepsze bulwary i aleje paryskie, wypełnione w dodatku historyczno-zabytkową treścią. Jest stosunkowo krótka, ale po jednej i po drugiej stronie natłoczone są fora, ruiny, kolumny, kościoły: przedziwne „*variétés*“ antyczno - średniowieczne.

Ta konstrukcja ma także swoje „ale“. Przyjemnie było niegdyś błądzącemu po uliczkach i zakamarkach znaleźć nagle na Forum Traiana: w dole okratowane odłamki kolumn i kamienie, a wśród nich koty, to wszystko u stóp dwóch bliźniaczych kościółków. Dziś wszystko jest uregulowane, uporządkowane. Planowa gospodarka w całej pełni...

„*Mostra della Rivoluzione Fascista*“ znajduje się na centralnej Via Nazionale w miejscu dawnego Pałacu Sztuk Pięknych. Jest to gmach w stylu mocno modernistycznym (futurysta Marinetti był przecież ojcem duchowym faszyzmu): czerwień i rózgi liktorskie, oto wrażenie, jakie zostawia nam zewnętrzna powłoka Wystawy.

Cudzoziemcy naogół niechętnie ciągną na „Mostra“. Idą tam raczej tylko dla formalności ostemplowania biletu w celu korzystania ze zniżki kolejowej. A jednak — warto zobaczyć.

Błędem Wystawy jest nadmiar fotografij, a przedewszystkiem reprodukcyj artykułów i komunikatów prasowych. Jestto jednak błąd nie do uniknięcia na każdej Wystawie.

Poczesne miejsce przypadło epoce Wielkiej Wojny. Jest więc w stylu nowoczesnym wykuta allegoryczna rzeźba, przedstawiająca wojnę. Robota trochę niezgrabna i chropowata, ale co za twarz. Zbrodnia okrucieństwo, zazdrość i złość: wszystkie namiętności, personifikujące wojnę — oddane znakomicie...

Są także popiersia generałów-zwycięzców, a w pośrodku nich — kamienny posąg Króla-żołnierza, Wiktora-Emanuela III, małego wzrostem, ale dzielnego człowieka. Kolekcja karykatur wojennych jest za to mniej udana i raczej niesmaczna: Włosi — mistrze w tylu dziedzinach — nie są zbyt wielkimi mistrzami w dziedzinie humoru.

Lata wojny, to był początek faszyzmu. „Duce“, redaktor „*Popolo d'Italia*“ walczył na froncie. Potem idą kolejno pierwsze lata powstawania i rozwoju nowej partji, nowego ruchu. Rok po roku wzrasta statystyka adeptów stronnictwa faszystowskiego.

Jest więc młody „Duce“ (z wąsami) budzący mało zaufania. Jest d'annunziański epizod z Fiume i walki w Italji: kulminacyjną pamiątkę tych zajść stanowi wnętrze ratusza w Bolonji (Palazzo d'Acursio) widzimy więc tam stół, fotele, na stole kartkę papieru ze śladami krwi zamordowanego nacjonalisty włoskiego Giordaniego.

Niezmiernie ciekawe jest odtworzenie kancelarji naczelnego redaktora „*Popolo d'Italia*“. Po objęciu szefostwa nowej partji przez Mussoliniego, redaktorem „*Popolo*“ był jego brat, Arnaldo Kancelarja jego — to skromny pokoik. Na półkach — komplet filiżanek do kawy (we Włoszech herbaty naogół się nie pije), na stole — kałamarz, pióra, zniszczona trochę książka telefoniczna i... rewolwer.

Rewolucja faszystowska miała swoich męczenników. Faszyści są z tego dumni. Ich pamięci poświęcone jest półkoliste sanktuarjum w samem sercu Wystawy „*Il mortuario*“. Panuje tam półzmrok, Na ścianach — złotemi zgłoskami wyryte napisy „*Presente*“. Po bokach jakieś chorągwie, szczątki broni. W środku na stole krzyż, a przed nim wartownik faszystowski na straży. Gdzieś w górze patefon gra bez przerwy „*Giovinezzę*“: gra cicho i nastrojowo.

Z „Mortuario“ wychodzimy na ulicę. Centralna arterja Rzymu wita nas kolorowym tłumem

przechodniów, przepysznemi wystawami sklepów, malowniczemi witrynami „barów“, hałasem samochodów i autobusów. Co za kontrast... Tam cisza, mącona zaledwie dosłyszalalnemi dla ucha dźwiękami hymnu rewolucyjnego. Tu biją w nas wszystkie odgłosy wielkiego miasta. Tam ciemno prawie, tu miasto wita nas zgiełkiem optycznym.

„Wystawa Rewolucji faszystowskiej" jest misterną gloryfikacją czynów zbrojnych. To sanktuarjum imperjalizmu włoskiego ma w sobie naprawdę coś pogańskiego.

5. PRZED POMNIKIEM

To co jest w Rzymie może najciekawszego — najwięcej budzącego wrażeń i wstrząsów duchowych — to tchnienie starożytności (*le souffle de l'antiquité*). Przed majestatem Forum, kiedy się spaceruje wśród zieleni Palatynu odczuwa się jakąś dziwną atmosferę: majestatyczną, ale zarazem i duszną, brzemienną w wypadki: w wojny, intrygi polityczne, szaleństwa Cezarów czy pełne republikańskiej cnoty czyny Cyncynnatów i Katonów. I wtedy malują się nam w wyobraźni obrazy przeszłości i legendy jakby uwiecznionej na barwnej homerowskiej tarczy Achillesa... *Le souffle de l'antiquité* — jak trafnie określił Francuz.

Kiedy spaceruje się po Palatynie i słucha cichej melodji szumu drzew, jakże spokojnych i sielskich na tym pagórku, który nazwać można mało historycznym, ale poprostu Historją przez wielkie H kiedy pobożny *cicerone* prowadzi do małego kamyka, wzniesionego przez Rzymian prawdziwemu, nieznanemu dla nich Bogu (zawsze ten kult Nieznanego — dziś mamy „*Milite Ignoto*“); kiedy na jednej z brzydszych zresztą ulic Rzymu widzi się nagle odłam jakiegoś starego muru, a „*Baedecker*“ mówi, że to jeszcze zabytek z czasów Serwjusza Tulljusza; — kiedy wreszcie w skromnym ogrodzie opodal Colosseum, „*Parco Oppio*“ pokazują nam rzekomą „*Casa Aurea*“ Nerona — Dom Złoty Nerona (może miejsce orgij, uwiecznionych w *Quo Vadis*), to wtedy rozumie się kult faszyzmu, z innych może zrodzony pobudek, więcej politycznych jak artystycznych, dla Starożytności. Kult ten wyraził się w budowie „*Via dell'Impero*“.

Gdy królem włoskim był Wiktor-Emanuel III
wodzem narodu — Benito Mussolini
gubernatorem miasta-ks, Buoncompagni-Ludovisi
S. P. Q. R.

Tak wypisano na pamiątkowym kamieniu umieszczonym przy nowo wytkniętym szlaku.

* * *

Przed pałacem na Kapitolu, który jest dziś siedzibą gubernatora miasta Rzymu, stoi od dawien dawna pomnik cesarza Marka-Aurelego z dynastji antonińskiej t. j. cesarzy adoptowanych. Marek Aureli była to aż do czasów zapanowania nowego porządku djoklecjańskiego ostatnia indywidualność na tronie: po śmierci Marka-Aurelego roztacza się nad historją Rzymu jakaś dziwna próżnia, z której dochodzą nas tylko odgłosy nieustannych zamachów stanu. Czasem zabłyśnie tam jaki Septymus Sewerus, wzruszy nas jego sympatyczny siostrzeniec Aleksander, Aureljan przyprowadzi do Rzymu u stóp swego trjumfalnego wozu królowę Palmiry, Karakalla wyda dekret o ogólnem równouprawnieniu. Okres ten jednak między Markiem-Aurelim, a Djoklecjanem — to okres strasznego upadku moralnego poziomu w Rzymie. Na granicach panuje pokój czy spokój rzymski — „*Pax Romana*“. Niema już jednak dawnej kultury, nie mówiąc o cnocie republikańskiej. Krasiński łamie ręce nad tą epoką: „Motłoch i Cezar, oto jest Rzym cały“.

W osobie Marka-Aurelego łączył się panujący z filozofem. Wypadek takiej symbiozy dość często spotykamy później w historji. Monarchą filozofem był Fryderyk II niemiecki i — w XVIII w. Fryderyk II pruski. Ale o ile w pierwszym filozofja objawiała się przedewszystkiem sceptycyzmem i duchem rewolty wobec panującego chrześcijańskiego „*status quo*“, o tyle drugi — słuchając jednem uchem demokratycznych rad Encyklopedystów, dopuścił się zbrodni rozbioru Polski. Marek-Aureli był panującym powszechnie lubianym i szanowanym. „Kochankiem ludu“ nazywa go Mickiewicz.

Marek-Aurelli zmarł w Noricum, dzisiejszej Austrji. Zmarł, na posterunku sprawy „pokoju rzymskiego“. I otóż, w parę wieków po jego śmierci jęły się łamać podstawy imperjum światowego: najpierw nastąpił podział pomiędzy synów Teodozjusza na Cesarstwo wschodnie i zachodnie, potem przyszedł kataklizm wędrówki narodów i na gruzach Imperjum zaczęły powstawać nowe państwa o wyraźnem obliczu narodowem: Francja, Hiszpanja, Rzesza niemiecka, Anglja i najmłodsze — państwa słowiańskie. Na wschodzie trzymało się jakiś czas Cesarstwo bizantyńskie, ale i ono wkońcu uległo.

Ale nie na tem tylko polegał dramat Marka Aurelego. Mickiewicz pisał o nim, że lud go kochał, bo „wygnał szpiegów i donosicieli". Chciał oprzeć rządy swoje na wzajemnem zaufaniu narodu i władzy. Utopistów takich bywało więcej: republiki które miały opierać się na tem wzajemnem zaufaniu kończyły się dyktaturą i wzmocnionym systemem policyjnym, albo też kończyły się korupcją.

Faszyzm wielbi stary Rzym: postawił na *via dell'Impero* pomniki Cezarowi i Augustowi, założycielom Imperjum; postawił pomnik Trajanowi, którego Rumuni uważają za swojego niemal przodka; Nerwa, który rządził krótko a sprawiedliwie, też się doczekał pomnika. Rehabilituje się gwałtownie Nerona: pożar Rzymu był podobno koniecznem zarządzeniem sanitarnem; Agryppina zaś, według kodeksu rzymskiego, zasługiwała stanowczo na karę śmierci. Coraz więcej Cezarów wraca do Panteonu, coraz więcej Cezarów wprowadza się na Kapitol. O starym pomniku biednego filozofa-utopisty zaczyna się niemal zapominać.

A Marek-Aureli spogląda z posągu konnego wzrokiem poważnym, dobrym i pełnym wyrazu. I może jeszcze do dziś dnia filozofuje na temat znikomości planów i ambicyj ludzkich ten zmarły pod Vindoboną (dziś Wiedniem) cesarz, co „wygnał szpiegów i donosicieli".

Z. M.

NA WIDOWNI

Stosunek do żydów dziś i 50 lat temu. — Wspomnienie o Janie Jeleńskim i Adamie Pługu. — Jak to było czasu wojny. — Niepodległość w teorji i w rzeczywistości. — Dawniej patrjotyzm, obecnie racja stanu. — Zawsze coś przeszkadza.

RUCH w kierunku odżydzenia miast polskich ma w historji swojej dobrze zapisaną kartę w ostatniem dziesięcioleciu wieku XIX. Zapisał ją Jan Jeleński, wydając w ciągu 25 lat (od r. 1883) antysemicką „Rolę". Działacz ten zmarł przed 25 laty i dlatego — w rocznicę śmierci — imię jego prasa polska teraz przypomina.

Postać Jeleńskiego żywo przywodzi na pamięć te jego czasy, kiedy inteligencja polska zatruwała organizm narodu fałszywą doktryną o możliwości zasymilowania żydów. Były to czasy najwyższego wezbrania liberalizmu, propagowanego przez pozytywizm, masonerję, socjalizm i — oczywiście — żydów. Rzeczą i ludzką i patrjotyczną było widzieć w żydach Polaków równouprawnionych narodowo i towarzysko. Opinja pod tym względem w kołach inteligencji warszawskiej była tak terorystyczna, że bohaterstwem było wyrażenie odmiennego na tę sprawę poglądu.

Do jakiegoś 1890 r. jedynie masonerja miała w Warszawie pewną organizację; żywioły narodowe były w rozsypce. Początki organizacji myśli narodowej zaznaczyły się dopiero w latach 1888 — 1890 z powstaniem „Głosu" i Ligi Narodowej, budząc czujne przeciwdziałanie obozu liberalnego. Jeleński w latach 1883 — 1890 miał oparcie (w sferze oświeconej) zaledwie w nielicznych jednostkach zpośród literatów (Jeske-Choiński) i zpośród kleru katolickiego, a tutaj przewodził powagą swego stanowiska i talentu publicystycznego ks. biskup Karol Niedziałkowski.

Jeleński prowadził akcję przedewszystkiem ekonomiczną, o wyzwolenie rzemiosł i handlu z ucisku żydowskiego, ale refleksy światła, które rzucał na stosunki polskie, sięgały głęboko w rozmaite dziedziny życia obyczajowego, religijnego i intektualnego. Cenzura rosyjska nie stawiała tej działalności przeszkód, bo ona odpowiadała poglądom na żydów w systemie polityki wewnętrznej Rosji. Ten moment polscy przeciwnicy „Roli", a potem „Głosu" uznali za najdogodniejszą pozycję dla swego frontu. Przeciwko działaniu narodowemu mobilizowali wespół z żydami patrjotyzm szowinistyczny, nie szczędząc nikczemnych oszczerstw.

Ginęła w tej zmowie wszelka myśl polityczna narodu. Zorganizowana przez żydowską masonerję inteligencja systematyczny dawała odpór wszelkim realnym poczynaniom obozu narodowego, budzonego z uśpienia, i coraz ściślej zespalała się z żydami w imię ich interesów. To samo było z ludem, do którego „Głos" zwracał młode pokolenie, jako do źródeł odrodzenia narodowego. Ponieważ system polityki rosyjskiej nieżyczliwy był szlachcie polskiej, a więc... „Głos" ze swoją ludowością był niepatrjotyczny.

Ruch ludowy „Głosu" nie miał bynajmniej charakteru klasowego, płynął z uświadomień narodowych, miał raczej charakter nacjonalistyczny. Wyczuli to przedewszystkiem żydzi i masonerja, której przeciwstawiała się Liga Narodowa. Te czynniki skierowały opinję inteligencji miejskiej i konserwatystów przeciwko nowym prądom. „Głos" znalazł się w sojuszu z „Rolą", pomimo, że osobiste stosunki nie łączyły tych placówek. „Głos", odsuwając się od obozu socjalistycznego, coraz wyraźniejsze zajmował stanowisko wobec żydów, mając na względzie przedewszystkiem interesy wsi polskiej, „Rola" — organizowała przeciw żydom mieszczaństwo. Ruchy te sprzyjały sobie i sprzyjały społeczeństwu. Zbyt słaba była jednak myśl polityczna i tę okoliczność podstępnie wyzyskał obóz, obawiający się narodowego Polski odrodzenia.

Wtedy to już poczęły się — konszachty polityczne sfer liberalnych z radykalizmem socjalistycznym. Uderzono w strunę patrjotyzmu uczuciowego, który utożsamiał siebie z antyrosyjskością: to jest polskie politycznie, co jest antyrosyjskie. Ci, co występują przeciw żydom, dzielą naród, zamiast się łączyć z żydami w obronie od rusyfikacji. Rosja przytem nie przeszkadza antysemityzmowi i to jest znaczące, nie przeszkadza szerzeniu się wiary w lud. To wystarcza, aby nowe prądy uważać za podejrzane. „Trybuna Warszawska" (nr. 4), pisząc teraz o Janie Jeleńskim, przypomina charakterystyczny z tych czasów epizod:

„Gdy emigrant z 1863 r. ś. p. Kalikst Wolski po 18-letniej tułaczce powrócił z za oceanu do Polski, i mimo swej przychylności dla Żydów dostrzegł ujemne skutki symbiozy polsko-żydowskiej i począł przeciwko niej występować, redaktor poczytnych „Kłosów", pisarz patrjota, Adam Pług (Pietkiewicz) zwrócił mu zakwalifikowane już do druku rękopisy podróżnicze z takiem oświadczeniem:

— Pańskie paszkwile o izraelitach polskich wykluczają możność jego współpracownictwa w „Kłosach".

Tutaj bierze początek w najnowszych dziejach Polski potajemna fabrykacja: 1) fałszywych monet obiegowych opinji o wyższości patrjotyzmu filosemicko-masońskiego nad patrjotyzmem nacjonalizmu polskiego, 2) fałszywej tezy politycznej, że bronić trzeba Polskę od niej samej (od jej nacjonalizmu) i 3) fałszowanej historji lat ostatnich, że niepodległość swoją Polska zawdzięcza temu, iż masonerja stanęła po stronie państw centralnych. Patrjotyzmowi bowiem polskiemu — według tej nauki — godziło się stanąć jedynie na froncie antyrosyjskim.

Bardzo ciekawe są dzieje świadomości politycznej społeczeństwa, rozdartego wewnętrznie wskutek przyplątania się obcych jaźni narodowych! Długo jeszcze Polska leczyć się będzie z tego rozdwojenia jaźni. To, co dzisiaj nazywa się sanacją, jest właściwie recydywą, na szczęście bardziej już powierzchowną, pomimo swej efektowności. Naród przychodzi do siebie. Żydzi odtąd zawsze godzić będą w nasz patrjotyzm, wiedząc, że to jest najczulsze u Polaków miejsce i brakiem tego patrjotyzmu nas szantażować. Oni jedni potem będą wiedzieli, co to jest „niepodległość" i jak do niej dochodzić.

— — — — — — — — — — — — —

Pogląd mój na tę kartę dziejów ma już swoją historję. Obchodzę właśnie w tym roku dziesięcioletni jubileusz wielkiego procesu, który się zwalił na moją głowę z tego powodu, że niektórym ludziom zrobiłem publicznie zarzut, iż tylko udawali głupich, w rzeczywistości jednak, działając z ramienia żydów i masonerji, świadomie sprowadzali politykę polską na manowce. Że w Polsce dużo jest głupich ludzi, to się wie, boć przecie

nie tają się z tem i mają sposobność z tem się manifestować; ale że nie każdy jest Polakiem, choć takim się mieni, i że nie każdy działa w dobrej wierze, to już trzeba udowodniać, nie licząc zresztą na powodzenie. W r. 1920, kiedy mi wytoczono proces, świadomość chwili dziejowej była jeszcze w Polsce bardzo mętna; rozprawy w sądzie, do których doszło dopiero w r. 1924, trwały dni czternaście, tak zaplątane były ścieżki, któremi niektórzy Polacy dochodzili przez wojnę do Polski[1]). Wydało się wtedy nowością to, co na tym procesie mówiłem o roli politycznej, jaką odgrywali w czasie wojny żydzi, ci żydzi, którzy tak niedawno według Pługa zasługiwali na obronę patrjotów, jako dobrzy Polacy.

„Na ziemiach polskich — mówiłem — mogły istnieć tylko dwie aspiracje, innych nie było. Rzecznik oskarżenia ironizował, że zaniedbałem Lednickiego nazwać żydem, bo w książce swojej „Na wschodnim posterunku" utrzymuję, że są dwie orjentacje: polska i żydowska. — Jest to problemat ważny. Myślę, że nawet tutaj w sądzie może być poruszony nie bez pożytku. Utrzymuję, że niema polityki doktryn, są tylko polityki interesów. Polityki nie robi się w powietrzu, ona zawsze się opiera na jakichś realnych dążeniach masy kraj zamieszkującej. Na ziemi polskiej zarysowały się dwa wiry interesów: jeden polski, a drugi żydowski.

„Przebieg tej wojny wykazał w szeregu aktów dyplomatycznych i na kongresie, że świat żydowski bardzo był zainteresowany, ażeby dopomóc Niemcom w taki czy inny sposób, ale tak, żeby nie było wielkiej Polski. Dla żydów najlepszem rozwiązaniem sprawy polskiej byłoby takie, żeby wszystko pozostało po dawnemu, w rozbiorach. Rozwiązanie beselerowskie było dla nich bardzo dogodne"... (s. 434).

Oto jak się posunęły sprawy w ciągu lat kilkudziesięciu. Stary Pług nie dałby oczywiście wiary nikomu, ktoby przepowiadał, że tak wkrótce będzie, iż żydzi ogłoszą się za osobny naród, prowadzący własną politykę i że eksploatować będą dla niej dobroduszność i usłużność Polską, nie zarzekając się bynajmniej walki wewnarz kraju na długim, jawnym już, froncie. Dziś już wszyscy w Polsce wiedzą, jak dramatyczną sprawa żydowska przybrała postać; nie mniej te same ugrupopowania jak za czasów Pługa, czy czasów wojny, stoją wiernie pod sztandarami żydowskiemi, biorąc na siebie najcięższe posługi w walce z polskim żywiołem narodowym. Taka jest komenda sztabu międzynarodowego.

— — — — — — — — — — — — —

Życie coraz żwawiej podąża teraz do rozwiązywania problematów, które niedawno jeszcze niejasno się zarysowywały. Rzeczywistość staje się coraz wymowniejsza: walka o byt i o niepodległość stawia sprawę żydowską na ostrzu noża. Nie można już — takby się zdawało — grać na patrjotyzmie polskim w obronie żydów. A jednak na froncie żydowskim po dawnemu w pierwszych szeregach widzimy Polaków — tych samych, którzy błąkali się po manowcach w czasie wojny. Wiele się zmieniło w ich poglądach politycznych, zerwać jednak z żydami nie mogą, owszem filosemityzm kładą w podwaliny wychowania swego młodego pokolenia. „Gazeta Polska" organ oficjalnej myśli politycznej obecnego systemu, jakby nic nie zaszło od lat pięćdziesięciu, traktuje antysemitów, jak stary Adam Pług: antysemityzm (= ksenofobja) jest absurdem i rzeczą niepatrjotyczną.

„Trzeba owemu graniu na instynktach ksenofobji przeciwstawić się jasno i wyraźnie. Trzeba, aby szary człowiek w Polsce zrozumiał, że „program" antysemicki jako *panaceum* na wszystkie dolegliwości i bolączki polityczne i gospodarcze — jest absurdem. Trzeba, aby uświadomił sobie, bez względu na sympatje czy antypatje „rasowe" — że jest sprzeczne z polską racją stanu opieranie polityki wewnętrznej Państwa na podjazdowej wojnie domowej większości z mniejszością, wynoszącą kilka miljonów ludzi od wieków tu osiadłych. — Trzeba wreszcie, aby każdy pojął, że miarą, jaką wolno mierzyć prawa obywatelskie, nie może być ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ale jedynie i wyłącznie stosunek obywatela do Państwa — jego działanie, nie kolor jego włosów".

Zdawałoby się, że gazecie bardzo się podoba stosunek żydów do Państwa. Nic podobnego. Ona się nad tem nawet nie zastanawia. Żydzi dogodni są nie Państwu, lecz sanacji.

Jakże trudno żyć w zgodzie z hasłem niepodległości.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) Ob. moją książkę „Proces Lednickiego". Warszawa, 1924. Str. 510.

GŁOSY

O POTRZEBIE WYDAWNICTW BIOGRAFICZNYCH napisał w tych dniach w „Gazecie Warszawskiej" (z 1 czerwca) krótki artykulik prof. uniw. Jagiellońskiego Władysław Konopczyński. Sprawa zasługuje na uwagę.

Autor nawiązał swoje uwagi do referatu uczonego niemieckiego H. Christerna, który w sprawozdaniach pruskiej Akademji Umiejętności, mówiąc o rozwoju i zadaniach zbiorowych dzieł biograficznych, zrobił dygresję w stronę wschodnioeuropejskiej, a więc i naszej historjografji. W krajach tych — powiada —

„niema żadnych zbiorowych dzieł biograficznych, a wypływa to z braku poczucia tradycji, jakkolwiek kraje te ulegają wysokiemu napięciu uczuć narodowych. Państwa ich są jeszcze za młode, by mogły wydawać dzieła takie. Ich nauka historyczna zanadto jest jeszcze obciążona zadaniem czysto politycznem: jak wogóle dopiero udowodnić z historji rację bytu tych państw powstałych z łaski traktatu wersalskiego. Zadanie możliwe do rozwiązania pod warunkiem, że dziejopisarstwo tych nowych państw przyswoi sobie część dziejów państw, do których one należały dawniej. Wszakże postępowanie takie nastręcza przy dziełach biograficznych szczególne trudności, aż nie do przezwyciężenia, bo żadnej osobistości nie można wyjąć z jej związków życiowych, ani też przypisywać jej narodowo-politycznych celów i zasług, o których sama nic jeszcze nie wiedziała".

Opinja taka ma wiele szans utrzymania się w obiegu, pomimo że jest fałszywa. Należałoby jej zapobiec; historycy nasi oddawna dopominali się o takie wydawnictwo. Informowaliśmy w „Myśli Narodowej" dość szczegółowo o tem, jakie są projekty w tym względzie i początki. Prof. Konopczyński, powołany przez naszą Akademję Umiejętności na stanowisko głównego redaktora projektowanego słownika, kończy swój artykuł taką uwagą:

„Słownika Biograficznego dotąd jeszcze nie mamy. Od lat kilku pracuje nad nim pod auspicjami i nadzorem Polskiej Akademji Umiejętności liczny zespół historyków. W tej chwili stukilkudziesięciu starszych i młodszych autorów przystępuje do pisania pierwszych kilkuset artykułów. Rzecz rozpoczęto w r. 1929 i, jużbyśmy może mieli, na wyścigi z Francuzami, pierwsze zeszyty gotowe, gdyby cały nasz świat naukowy zgodnie do tej roboty zakasał rękawy, i gdyby ci, co dysponują groszem publicznym, rozumieli należycie, że takie wydawnictwa, jak „Słownik Biograficzny" lepiej świadczą o mocarstwowem stanowisku danego narodu, niż najwspanialsze gmachy państwowe i stadjony sportowe".

DLA ZILUSTROWANIA TRUDNOŚCI, jakie się nastręczają Akademiji i wogóle naszym ambicjom „mocarstwowym" w tego rodzaju wystąpieniach zbiorowych, pozwolimy sobie przytoczyć jeden fakt z dziejów projektu naszego słownika.

Akademja ułożyła bardzo rozumnie plan robót przygotowawczych, a jednym z etapów tej pracy miała być pomoc, okazywana redakcji słownika przez komitety regjonalne. W tym celu powołano do życia komitety naukowo-obywatelskie w szeregu ognisk życia umysłowego, przedewszystkiem w miastach uniwersyteckich, jak Warszawa, Poznań, Wilno, Lwów, Lublin i t. p. Oczywista jest potrzeba takiej organizacji. Nie wszystek materjał da się wydobyć z istniejącej już literatury biograficznej, dostępnej Akademji. Sięgnąć trzeba do archiwów prywatnych, do aktów starych korporacyj, do żywej tradycji, nawiązać trzeba w tym celu stosunki z istniejącemi instytucjami, wyszukać autorów, którzyby materjał zużytkować umieli i tp.

Oczywiście Akademja przedewszystkiem miała prawo liczyć na pomoc Warszawy. Odbyło się bardzo liczne zebranie przedstawicieli wszystkich warszawskich instytucyj naukowych i literackich. Myśl Słownika przyjęto z uznaniem, nawet zapałem. Ale oto, co się zdarzyło. Wystąpił prof. Marceli Handelsmann z zastrzeżeniem, że nie widzi racji, dlaczego redakcja Słownika musi mieć swoją siedzibę w Krakowie. Dla Warszawy jest rzeczą upokarzającą poddawać się dyrektywie Krakowa, stawać do pracy na równi z Lublinem i tp. Do tego demagogicznego argumentu przedstawiciel uniwersytetu warszawskiego dołączył drugi, bardzo podejrzanej wagi naukowej, mianowicie, że historja Polski dzieli się na dwie połowy: przedrozbiorową i porozbiorową. Kraków w najlepszym razie może mieć pretensję do pierwszej połowy, ale co do drugiej, to wara mu — ona jest domeną Warszawy.

Przedstawiciel Akademji, gdy zdania się podzieliły, prosił, aby zgromadzenie wolę swoją wyraziło przez głosowanie. Większość ogniska warszawskiego okazała się tak uzależniona od autorytetu (?) p. Handelsmanna, że do zawiązania komitetu nie doszło. Istnieje widocznie w Warszawie jakaś instancja potajemna, dająca w takich wypadkach komendę, głosowano bowiem potulnie wbrew osobistemu poczuciu. P. Handelsmann niema zaufania do Akademji, czy utrafi w tendencje aktualnej polityki naukowej warszawskiej. A nuż Słownik w dziejach najnowszych zechce doszukiwać się prawdy!

Oczywiście Akademja zrezygnowała z komitetu warszawskiego i bezpośrednio przez swoich przedstawicieli organizować musi tutaj swoją pracę. Warszawa jednak może mieć słuszną pretensję do agitatorów za fałszywe przedstawianie jej stosunku do Akademji, z której była i jest dumna.

BŁĄD DRUKU. W numerze poprzednim w liście K. L. Konińskiego (s.348 w 13 wierszu od dołu) jest mowa O krakowskim Związku P i s a r z y P o l s k i c h (nie „Prasy Polskiej).

NAUKA i LITERATURA

Z GALERJI PISARZY LWOWSKICH

LWOWSKIE „Wiadomości muzyczne i literackie" od dłuższego czasu prowadzą dział, poświęcony życiorysom pisarzy p. t. „Z sylwetek literackich Lwowa". Ukazuje się tutaj szereg autobiografij literatów lwowskich, przedstawiających nieraz dokumenty pierwszorzędnej wagi i doniosłości, jeśli chodzi o poznanie drogi życiowej i myślowej autora, psychologji jego twórczości, jego zamierzeń. Jest to niejako spowiedź literata. Trafiają się jednak — widocznie to nieuniknione przy autobiografji — artykuły, robiące wrażenie szyldów reklamowych, natrętnie prześladujących jaskrawością, tupetem i megalomanją.

Ostatni numer „Wiadomości" z kwietnia b. r. przyniósł z owego cyklu dalszo trzy życiorysy, a to Jerzego Kowalskiego, Stefana Grabińskiego i Mieczysława Opatka.

Bardzo sympatycznie i mile czyta się autobiografję O p a t k a, rodowitego lwowianina, wybornego znawcy kultury dawnego Lwowa i pisarza, dla którego staroświecki Lwów stał się przedmiotem prześlicznych szkiców kulturalno-obyczajowych. Ten sentyment dla Lwigrodu i ujmujące, skromne słowa zdobywają przebojem serca Lwowian i zjednują autorowi sympatję czytelnika. Niestety pisarz ten, rzecby można rasowy lwowianin, nietylko poza Lwowem, ale i w obrębie jego rogatek mało jest znany i czytany. Za zwrócenie uwagi na Opatka należą się słowa uznania.

Rzecz o samym sobie S t e f a n a G r a b i ń s k i e g o, zdolnego autora sensacyjnych powieści i laureata literackiej nagrody m. Lwowa im. Kornela Ujejskiego w r. 1931, poucza czytelnika, że autor z powodu choroby piersiowej nie bierze czynnego udziału w życiu literackiem Lwowa.

Panegirycznie i groteskowo prezentuje się autobiografja J e r z e g o K o w a l s k i e g o, z instynktu literata, a z zawodu „niestety profesora", wyrębująca w historji literatury polskiej nową epokę i zwiastująca nam w osobie pana profesora odrodzenie naiwnego piśmiennictwa naszego. Wogóle chorobliwa megalomanja zrobiła mimowoli z wyznań p. Kowalskiego parodję autobiografji. Widać, że od św. Augustyna autor niczego się nie nauczył.

Nie mogąc dla szczupłości miejsca podać całego artykułu *in extenso*, podaję najogólniej jego treść. Dowiadujemy się, że autor „zresztą nie lubi prozy, jest ona w Polsce jeszcze naiwna", że „udusiłby także Młodą Polskę, jak gęś, która gęga, a nie daje mleka", że „wiele wycierpiał i od romantyków", że „Byron jest wielki jeszcze i dziś i że nie nazwałby Słowackiego grafomanem". Bardzo słusznie. My byśmy nazwali grafomanem raczej p. Kowalskiego.

Ogółem biorąc powyższe aforyzmy p. K., to bezmyślne i nieprzytomne potępienie całej naszej literatury z romantykami, Młodą Polską i prozą polską, tej, która zdobyła dwie nagrody Nobla i nadal jest przedmiotem naszej dumy a podziwu obcych, zdaje się świadczyć, że p. Kowalski ubiega się o sławę Herostrata. W tej ocenie jego romantycy nasi — to tortury, Młoda Polska Tetmajera, Przybyszewskiego, Wyspiańskiego to gęś, proza Sienkiewicza, Prusa, Reymonta to naiwność. Tak wyraża się o jednej z najwspanialszych literatur europejskich pisarz małego formatu i profesor literatury w jednej osobie. Ton godny pierwszego lepszego sympiaczka i nieorjentującego się nieuka. Pointa tkwi nawet nie w tem, lecz w złudzeniach p. Kowalskiego co do własnej wytwórczości, za którą zdaje się czaić podanie do Kadena z prośbą o przyjęcie w poczet członków Akademji Literatury.

Pozatem należałoby koniecznie zwrócić na tę biografję uwagę psychologów, a zwłaszcza specjalistów psychologji dziecka. Dla zaostrzenia ich apetytu przytaczam parę arcyciekawych zdań:

„Wspomnienia moje sięgają prawie niemowlęctwa. Muszę istotnie zadużo myśleć o sobie, skoro z wielkim palcem u nogi w ustach, już się śledziłem. Pamiętam postać... rzeczy, które stały się podobno w moim trzecim roku życia. Pamiętam chwilę, kiedy wymówiłem pierwszy wyraz w mojem życiu"... I t. d. Fenomenalne i oszałamiające. Istotnie zadużo musi myśleć o sobie p. Kowalski.

Jeden morał wynika z tej autobiografji dla p. K: by dał spokój literaturze polskiej swojemi ocenami i swoją twórczością pisarską. Słabe jego powieścidła, jak „Catilina", „Mijają nas" i „Złota kula" już nas mijają. Miną i zapomniane będą. Nie pomoże im estetyzowanie i psychologizowanie, podlane sosem tłustej pornografji i podane w niezłem opakowaniu stylistycznem. Pewne zalety kompozycji i stylu nie mogą żadnym sposobem wynagrodzić pustki moralnej i braku podstaw ideowych twórczości.

Słusznie zauważył Mieczysław Opatek w swej autobiografji, że niektórzy lwowscy pisarze *ad astra* pchają się łokciami.

OBSERWATOR

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W serji „Prac społecznych i politycznych", wydawanych staraniem Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, ukazało się obecnie dzieło profesora tej szkoły a zarazem docenta Uniw. Jagiellońskiego Stanisława Srokowskiego pt. „Geografja gospodarcza ogólna". (Warszawa, 1934 r. Stronic 408 + VIII. 115 map w tekście. Nakład Instytutu Społecznego, ul. Raszyńska (róg Wolskiej). Cena 12 zł. Do nabycia we wszystkich księgarniach). Wartościowa ta książka znajdzie się w ręku każdego, kto pragnie ugruntować swą wiedzę ekonomiczną, tak dzisiaj potrzebną. Jest ona zarazem podręcznikiem dla słuchaczy. Treść rozpada się na sześć części:

I. Wpływ przyrody na gospodarkę człowieka (wpływy kosmiczne, wpływ kształtów powierzchni ziemi, wpływy atmosferyczne, wpływ hydrosfery, wpływ szaty roślinnej i fauny). II. Człowiek czynnikiem gospodarującym (przystosowanie się człowieka do warunków klimatycznych, rasy ludzkie, kwestja robotników, kręgi kulturalne na globie ziemskim, języki handlowe i międzynarodowe, związek między gęstością zaludnienia i poziomem gospodarki, działanie na produkcję granic celnych, statystyka, stopnie i rodzaje ludzkiej gospodarki, hodowla bydła, polowanie i rybołóstwo, zagospodarowywanie lasów, rzemiosło, przemysł i górnictwo. III. Geograficzne rozmieszczenie głównych ośrodków wytwarzania dóbr (śpichrze zbożowe świata, krainy plantacyj, sady owocowe i winnice, obszary leśne i ich eksploatacja, pastwiska dla hodowli bydła i obszary rybne, obszary górnicze świata, ośrodki przemysłu. IV. Wymiana dóbr (handel). V. Komunikacja. VI. Krajobraz i gospodarka ludzka.

*

Oryginalną literaturę polską o sprawie żydowskiej pomnożyła świeżo ciekawa praca ks. dr. Stanisława Trzeciaka pt. „Mesjanizm a kwestja żydowska", duża, o 337 stronicach książka, oparta na wielkiej ilości dzieł źródłowych i twórczych. Ideja wybrańśtwa i posłannictwa, oraz ich oczekiwanie Mesjasza omówione są tu naprzód z punktu widzenia nauki kościoła katolickiego, następnie w szeregu głównych w żydostwie zdarzeń historycznych, i wreszcie pod kątem zasadniczych postulatów i posunięć polityki żydowskiej.

Książka zawiera mnóstwo danych w sprawie żydowskiej, które autor zgromadził pracowicie z wielu książek innych autorów, jak np. z Rolickiego „Zmierzchu Izraela", oraz z Krasnowskiego „Światowej polityki żydowskiej". Rzecz uzupełniają dane statystyczne rzemiosł i handlu żydowskiego w Polsce, wyliczenie i charakterystyka żydowskich partyj wywrotowych, w Polsce czynnych, i wiadomości o przebiegu różnych rewolucyj, w których działali żydzi. Tak wiele różnorodnego materjału, w jedne ramy ujętego, daje książce tej swoisty ciężar gatunkowy. *(ST. P.)*.

*

„Bibljofil Polski". (Księga I wydana nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie) zawiera szereg artykułów na temat miłośnictwa „rzadkiej książki". Jan Lorentowicz wypowiada pogląd historyczny o metodach wydawniczych, które, pomijając wewnętrzną treść, dostarczały książki o szczególnym zewnętrznym obliczu, biboty, poszukiwane i przepłacane przez amatorów ze względu na oryginalne, nadzwyczajne cechy złocenia, ekslibrisów i ilustracji. Książki te mają swoją giełdę i są licytowane nieraz do niespodziewanie wysokich cen.

U nas takie wydania nie bywają przedmiotami poszukiwań, mody i targów, chociaż drukarstwo polskie może poszczycić się ładnymi drukami w szesnastym i osiemnastym wieku, później wydawnictwami Grölla, Mostowskiego, a w ostatnich dziesiątkach lat estetycznemi wydaniami „Chimery", próbami stylizowanego zdobnictwa Wyspiańskiego, i wybitnych firm drukarskich i księgarskich.

Artykuł Ludomiła Lewenstama „Współczesny ruch bibljofilski w Polsce" przypomina początki bibljotekarstwa w zamkach i dworach magnackich od czasów panowania Zygmunta Augusta, zbiory Czackiego, Ossolińskiego, Lelewela i Bantkiego, wymienia organizacje poświęcone miłośnictwu książki, w Krakowie, Poznaniu, Zamościu, Lwowie, Toruniu, Wilnie i Łodzi. Działalność tych organizacyj przejawia się przez urządzanie zjazdów, wystaw i odczytów.

W artykule „Polskie Tow. przyjaciół książki w Paryżu" S. Koczorowski wspomina z entuzjazmem wydawnictwa romantyków w dobie Wielkiej Emigracji, o których żywa tradycja w Paryżu przyczyniła się do założenia wyżej wymienionego T-wa. Staraniem tegoż T-wa wydano „Pastorałki" Czyżewskiego, na papierze chłopskim, wyrobionym z czystych szmat w młynach papierowych nad potokami górskiemi. Inne, zdobne w miedzioryty, na papierze wyjątkowym, drukiem wybrednym. Samodzielnie wydaje Oficyna Florencka pod kierunkiem Samuela Tyszkiewicza takie książki - cuda, „białe kruki".

W artykule „Bibljofilstwo powojenne we Francji" Kazimierz Woźnicki przedstawia stan przerostu wydawnictw takich książek zbytkownych jako „dzieł sztuki", w celach spekulacyjnych, z tem, że jednak przez znawców poszukiwane są dawne wydania klasyków. Dalej „Bibljofil polski" podaje wykaz ważniejszych perjodycznych wydawnictw francuskich, poświęconych znawstwu i bibljofilstwu, artykuły o ruchu bibljofilskim w Rosji sowieckiej, we Włoszech, w Niemczech, w Czechosłowacji, Stanach Zj. i w Meksyku. Wymienia szereg polskich studjów naukowych, temu przedmiotowi poświęconych. *(A. W.)*

*

W zbiorku poezyj pt. „Imię na korze" Czesława Janczarskiego (w nr. 20 w bibljografji mylnie wydrukowano imię poety) świeżo wydanym z datą 1934 r., wierszyk, którego tytuł przeszedł na okładkę, brzmi w ten sposób:

Z sosen
Spijam westchnień wonnych rosę.
Do buka
Serce mi tkliwie stuka.
Do osik
Tęsknotę szczerą nosim.
Do kalin
Serce ukoralim —
Do zielonego gaju
Wstąp śmiało i z kołem drzew się zaznajom,
Wtul głowę w zielone gałązki brzozy
I imię swoje wyryj na srebrnej korze.

Poematów jest dziesięć na 14 stronach. Pisane są na Wołyniu z pietyzmem dla miejscowego krajobrazu. Autor zapewne doznaje wzruszeń poetyckich, ale nie umie znaleźć dla nich wyrazu i nie potrzebnie śpieszy się z drukowaniem wierszy, zapominając, że był już przedtem na Wołyniu Słowacki.

*

Nakładem księgarni św. Wojciecha ukazała się książka ks. dr. J. Nowackiego p. t. „Opactwo św. Gotarda w Szpetalu pod Włocławkiem" (Gniezno 1934). Przyczynek ten do dziejów misji pruskiej biskupa Chrystjana zainteresuje niewątpliwie nietylko specjalistów historyków naszego wczesnego średniowiecza, lecz również zwykłego czytelnika, zwłaszcza pochodzącego z Kujaw, czy ziemi Dobrzyńskiej. O opactwie Cystersów na prawym brzegu Wisły wprost naprzeciwko Włocławka zaginął na miejscu wszelki ślad materjalny, została tylko nazwa miejscowości, uderzająca pośród czysto polskich nazw okolicznych: Szpetal (dawniej Szpital), a pochodząca od *Hospicium*, *Hospitali-*

tas, założonego według zdania autora przez Benedyktynów jeszcze przedtem, zanim około r. 1228 wojewoda mazowiecki, łęczycki i kujawski Bogusza z możnego rodu Doliwów, osadził w Szpetalu Dolnym i hojnie wyposażył Cystersów, sprowadzonych z Georgentalu w Turyngji.

Opactwo nie przetrwało długo; dwukrotny najazd pogańskich Prusów wygubił częściowo mnichów, reszta uszła i nie miała wiele ochoty do powrotu na tak niepewną placówkę. Sprawa ciągnie się z rozmaitemi kolejami aż do roku 1358, wywołuje sporo korespondencji i procesów, wreszcie kończy się ustąpieniem Cystersów od pretensji do Szpetala. Dziś niema nawet śladu po kościele i opactwie. Mimo, że cała historja rozgrywa się w owej epoce, w której z powodu niewytłumaczonego wstrętu do pióra na który tak się skarżą historycy po naszej stronie trzeba się wszystkiego właściwie domyślać i mozolnie konstruować z najrozmaitszych okoliczności ubocznych i mimo że i w tym wypadku główne źródło pisemne jest obce (pismo opata Georgentalskiego do księcia kujawskiego Kazimierza, wyszczególniajace i windykujące prawa i majątki opactwa szpetalskiego) skrzętna praca autora dała jednak w tej niedługiej historji szpetalskich cystersów zajmujący obraz życia tej części ziemi polskiej, zamierzeń kolonizacyjnych i misyjnych, obyczaju, sporów prawnych i samego prawa zwyczajowego. Z tego względu można ją polecić naszemu czytającemu ogółowi. (Z. R.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W UBIEGŁYM MIESIĄCU Zachęta urządziła, przy pomocy córki artysty, p. Jasińskiej-Nowickiej, zbiorową wystawę pośmiertną malarza, Zdzisława Jasińskiego.

Wystawa przypomniała nanowo publiczności plastyka o szerszym zasięgu ambicyj, niż znanego jej przed paru laty jeszcze uczestnika wielu pokazów malarskich Zachęty. Jasiński bowiem, który ostatnio ograniczał się prawie wyłącznie do pejzaży i kwiatów, miał wszelkie dane po temu, by rozwiązywać zadania bardziej rozwinięte i tematycznie i kompozycyjnie. Takie też zebrane i przypomniane teraz, pozostawił w dorobku.

Dzieła Jasińskiego świadczą przedewszystkiem o jego dużej wiedzy i umiejętności, co nas skłania do wniosku, że dawne metody nauczania były jednak dobre, skoro artystom, pomijając ich uzdolnienia indywidualne, dawały tak solidne podstawy wykształcenia. Ta umiejętność malarska, która pozwoliła, Zdz. Jasińskiemu na swobodne obracanie się z łatwością w kręgu dużych kompozycyj figuralnych, miała również swe uboczne niebezpieczeństwa. Owa widoczna łatwość, z jaką artysta podejmował zadania, dla innych najeżone trudnościami, dawała w rezultacie wrażenie niezawsze dodatnie: pewnej beztroski uczuciowej. Za jej przyczyną, prawdopodobnie, widz nieraz, przy jednoczesnem stwierdzeniu wielu zalet formalnych, nie mógł z obrazem nawiązać cieplejszego kontaktu.

Jasiński, monachijczyk z wykształcenia zaczął od obrazów o silnym podkładzie anegdotycznym z bardzo rzetelnem wystudjowaniem natury, z wyraźną przewagą światłocienia nad kolorem. („Chora matka", „Nudna nauka", „Bańki mydlane"). Później paleta się rozjaśnia, nabiera barwy. Następują kompozycje alegoryczne nastrojowe i symboliczne (Chmura karmicielka). Stanowisko artysty możnaby określić mianem impresjonistycznego naturalizmu.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że Jasiński który przecież dłużej przebywał w Monachjum, niż dziś wielu artystów w Paryżu, po powrocie zwrócił się zaraz ku temu, co polskie: ku polskiemu pejzażowi, ku typom i strojom polskim. Jako malarz, pragnął własnemi słowami opiewać piękno własnego kraju. (Najlepszy obraz: Do kościoła") A dziś wielu takich nawet, co polizało tylko zagranicy, patrząc później na to co najbliższe, pragnie zobaczyć jedynie... Paryż.

*

Istnieją artyści, którzy z równem powodzeniem mogliby uprawiać ten, albo inny dział sztuki. U nich koncepcja artystyczna odgrywa największą rolę, natomiast sama *zmysłowa* strona procesu twórczego nie jest już tak ważna. Istnieją również inni, dla których *doznawanie* w procesie wykonania dzieła, staje się nieomal tak istotne i nieodzowne jest oddychanie. Ci, jeśli są malarzami, widzą i odczuwają wszystko tylko jako malarze, gdyby przestali nimi być, nie istnieliby jako twórcy.

Do takich natur należy Wacław Wąsowicz. Jego zmysłowe, malarskie odczucie widzialnej rzeczywistości jest bardzo silne. A jednocześnie lubi on jadać (i jada) chleb z niejednego pieca malarskiego. Ta skłonność do ciągłej zmiany postawy artystycznej, inspirowanej zzewnątrz, byłaby niebezpieczną dla organizmu mniej malarsko żywotnego, dając w rezultacie tylko naśladownictwa. Nie stwarza takiego niebezpieczeństwa naturze Wąsowicza, tembardziej, iż zawsze stwierdzamy poważny i odpowiedzialny stosunek malarza do pracy.

Z drugiej strony jednak nie widzimy powodów, by ciągle kimś się podpierał ten, kto dawno sam już b. dobrze potrafi chodzić a nawet mógłby innym pokazywać drogę. Wiem, jakie w takim wypadku przytacza się argumenty. „Trudno" — mówią niektórzy — „zachód", ściślej mówiąc Paryż, jest tem centrum ciągłości kultury malarskiej, stamtąd więc trzeba czerpać wskazówki". Argument ten straci wiele, gdy przypomnimy ogólnie znany fakt udziału w kontynuowaniu tych tradycyj olbrzymiej liczby cudzoziemców, często z narodów b. młodych. Nasi malarze są więc nieraz, temsamem, inspirowani przez jednostki młodsze od nich kulturalnie. Tylko rezygnacja z własnych ambicyj może pozwolić na taki stan rzeczy.

Obecny okres malarski Wąsowicza przynosi płótna, poddające treść malarską ścisłej dyscyplinie form i kompozycji. Dąży w nich artysta słusznie do syntezy i uproszczenia, do kształtów monumentalnych, lecz niesłusznie często utożsamia monumentalność z szematycznem i nudnem, z gruba przeprowadzonem obciosaniem form. Obrazy te zahaczają, czasem ze zbytnią już rezygnacją z samodzielności, o sztukę Gromaire'a i Makowskiego.

WIKTOR PODOSKI.

MUZYKA

FILHARMONJA. Ostatni na zamknięcie sezonu, koncert[1]) wprowadził nas w atmosferę Młodej Polski. Trudno byłoby wprawdzie objąć jej zasięgiem koncert fortepianowy

[1]) Sprawozdanie to z powodów niezależnych od autora zamieszczamy z tygodniowem opóźnieniem. — Red.

b-moll Maliszewskiego i nie mam wcale zamiaru tego czynić. Zresztą — wieczór w założeniu poświęcono muzyce polskiej, tak się jednak złożyło, że reprezentowała ją w przeważnej części twórczość tamtego czasu.

Nie jest to, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało przypadek. Okres Młodej Polski łączy się z nagłym rozkwitem naszej muzyki symfonicznej. Sprzyjały temu warunki. Jednym z nich było założenie w Warszawie Filharmonji, chociaż trudno jest nie wspomnieć o tej walce, którą stoczyć musiała młoda polska twórczość symfoniczna z nowopowstałą instytucją, walce w ścisłem słowa tego znaczeniu. W głowie się nam dzisiaj nie może pomieścić, że słowa listu Karłowicza do prof. Chybińskiego („Zupełnie niespodziewanie doczekałem się pierwszego wykonania „Oświecimów"... i to w Warszawie... i to w... Filharmonji — oczywiście jednak na koncercie nie przez Filharmonję urządzonym"...) są odbiciem rzeczywistości. Ktoś mógłby żartobliwie powiedzieć: oto przyczynek do twórczości artysty — jedno ze źródeł jego smutku! A jednak może i dzisiaj przez analogję mógłbym uprzytomnić ówczesną sytuację. Byłaby to już jednak dygresja, wykraczająca poza ramę spraw związanych z muzyką.

Młoda Polska była wyjściem, ale też i rozstajem. Skończył się bowiem okres przemożnego wpływu atmosfery, wyodrębniły się indywidualności. Jakże różne drogi stać miały przed Szymanowskim, Różyckim, Szelutą! A jednak u początku łączyła ich wspólna pozycja — „awangardzistów"

Jeśli z całą stanowczością przeciwstawiam się zawsze tym, którzy doszukują się przedewszystkiem, wszędzie i u wszystkich wpływów, ani kroku nie mogąc się ruszyć w swych dociekaniach bez oparcia o jakieś autorytatywne, w ich mniemaniu, nazwisko, to z drugiej strony nie mogę pominąć postaci, które rzeczywiście odegrały jakąś rolę. A taką postacią dla okresu Młodej Polski był Ryszard Strauss. Odrazu jednak trzeba zaznaczyć, że rola ta nie była tak przytłaczającą, jak niektórzy sądzą. Ale zdobycze i natury formalnej, jakie wniósł do muzyki symfonicznej i towarzyszący im proces myślowy daleki od berliozowskiej wizualnej programowości zmuszały do żywego i nie pozostającego bez następstw zainteresowania się nim. Muzyka nie jest sztuką oderwaną od życia, nie jest, jak sądzą lub nawet chcą niektórzy, czemś zupełnie abstrakcyjnem. Możebyśmy bardziej pewne zjawiska rozumieli, gdybyśmy nie brali indywidualności w takiem oderwaniu, jak to się niejednokrotnie zdarza. To, że zarówno Szymanowski, jak i Szeluto, komponowali do słów Tadeusza Micińskiego, nie jest przypadkiem. I nie jest przypadkiem *libretto* Feliksa Dörmanna do opery *„Hagith"*, Szymanowskiego pokrewne *libretto*'m i Oskara Wilde'a i Hugona von Hofmansthala do *„Salome"* i *„Elektry"* — Straussa. Tak, jak nie jest przypadkiem dla Różyckiego *„Eros i Psyche"* i... *„Anhelli"*. Artystę pociągnęła strona mistyczna poematu niewątpliwie. Bo czy ludzi tamtych, wypranych zdawałoby się z pierwiastków romantycznych, pełnych sceptycyzmu, usiłujących brać wszystko rozumem, mogło wziąść dzieło nawskroś romantyczne? Ależ właśnie tak! Owi poromantycy ciągnęli za sobą cały bagaż akcesorjów romantycznych. Nie zdawali sobie z tego sprawy. To jedno ze źródeł tamtej, tak dla nas nieznośnej pozy. Ale tylko jedno. Mam duże współczucie dla ludzi, którzy wówczas musieli żyć i musieli być wyrazicielami swojego czasu. Dzisiaj już łatwo wytłomaczyć możemy ich niemęskie przerafinowanie. Jest ono wypadkową całego eklektycznego wieku dziewiętnastego. Stąd nasze uczucie obcości.

Nie zawsze jest rzeczą dobrą trzymać się starego przyzwyczajenia. Myślę w tej chwili o stałem dziś jeszcze łączeniu nazwisk tych, którzy kiedyś wkraczali do sztuki grupą Młodej Polski. Powtarzam: od tamtej pory dużo już minęło. Dzisiaj, gdy o niej chcemy mówić, musimy się obracać nie w kole ludzi ówczesnych, ale twórczości, której kilka przykładów mieliśmy możność słyszeć na ostatnich koncertach filharmonicznych (myślę i o poranku symfonicznym w niedzielę 27 maja). Były niemi: Karłowicza „Smutna opowieść" i „Powracające fale", Szymanowskiego „Uwertura koncertowa" *e-dur* op. 12 i Różyckiego *„Anhelli"*.

Twórczość jednego tylko człowieka w całości związana jest z tamtym okresem. Jest niejako dla niego reprezentatywną. Myślę o Karłowiczu. Ale to tylko dlatego, że śmierć przedwcześnie przecięła mu życie.

W. NARUSZ

FILM

ATLANTIC: „Pilnuj swego męża", film amerykański.

Głupi tytuł orjentuje w zupełnie fałszywym kierunku. Bo atmosfera filmu wcale nie jest lekkomyślna. Bez rysowania powabnego szczęścia rodzinnego, głosi chwałę rodziny i uczucia, co jej człony scala w jednostkę społeczną— miłości matczynej. Matka (tu) zdawałoby się herod-baba trzyma wszystkich w garści: musi przecież wykierować syna na ludzi i opiekować się mężem, pijusem, niedojdą, wogóle lekkomyślnym, choć w gruncie rzeczy dobrym, dorosłym dzieciuchem. Ten mąż nic nie potrafi i zresztą nie kwapi się do pracy, więc ona, kobieta, jest pilotem holownika, wprowadzającym okręty do portu. Tu żyją, związani wszystkiemi fibrami z holownikiem, swym karmicielem.

Jest w tym filmie serce skryte pod rubasznością, uczucie przyczajone w humorze, wywołującym uśmiech wzruszenia. Poza piękną i dobrą atmosferą, główny walor filmu polega jeszcze na znakomitej grze pary aktorów charakterystycznych, w roli żony i męża. Są to znani w Ameryce brzydale, starsi artyści: Marja Dressler i Wallace Beery. Gra ta nadzwyczaj bezpośrednia; twarze wyraziste, ruchliwe, o skórze nieprawdopodobnie rozciągliwej jak guma, życiem i ruchem w ich obrębie zastępują inną ruchliwość ekranu.

Zdjęcia dobre. Film dozwolony dla młodzieży.

KANDYD.

NOWE KSIĄŻKI

Światopogląd morski. Praca zbiorowa pod redukcją Józefa Borowika. Toruń 1934. Instytut Bałtycki. S. XVI i 390.

Fischer Adam. Etnografja Słowiańska. Zesz. 3: Polacy. Lwów 1934. Książnica Atlas. S. 256. Z 59 ilustr. i maj.

Przegląd Współczesny. maj. 1934. (nr. 145).

Muzyka. Warszawa, nr. 5 (maj).

OFENSYWA

P. BERSON O SOWIETACH

KSIĄŻKA, która nie irytuje, aczkolwiek brało się ją do ręki ze stuprocentową pewnością, że człowiekowi wątroba z pasji spuchnie. Wydawnictwo „Sarmacja"; żeby było trudniej poznać; (niektórzy mogą myśleć, że to korporacja „Sarmacja"?) Zamiast normalnej przedmowy polonez genjalnego Ogińskiego, który czasem komponuje świetnie, a czasem gra z dość ordynarną, niedyskretną irytacją, pławiąc się w rozkoszy posiadania sił, środków władzy i potęgi *(nasilstwo)!* Książka p. „Otmara" nie irytująca. Być może, że po lekturze cielęcych kretyństw o Sowietach (Ukrainie!!) takiego tumana, jak Herriot, wszystko, co się potem weźmie do ręki i czyta o Sowietach, wydaje się rozsądne, mądre, męskie, zrównoważone, objektywne, no i... przewidujące. Irytują zawsze Amerykanie, piszący o Sowietach, zachwyceni żygantami i gigantycznością, olbrzymiością terenu, żelbetonami, egzotyką, kolosalnością, statystyką. Taki senator Mac-Adoo, zięć poprzedniego prezydenta, w podróży po Sowietach cały ogorzał od miesiąca, jak nieprzymierzając stary szarlatan Shaw. Z recenzji tylko znamy ostatnią angielską książkę Aleksandra Wicksteeda: *„Ten Years in Sowiet-Moscov"*, dziennikarza, który przesiedział tam pono 10 lat i wrócił do Londynu jako... apostoł. Niemiecka niezbyt nowa *„Das Experiment des Bolschevismus"* Artura Feilera z Frankfurtu, da się czytać jeszcze, ale już nieco zwietrzała. Nasz Mackiewicz to są „natchnione impresje", czarujące pogłębiania, uwodzące metafory, ale dziś już echa z przeszłości. Przedwcześnie, ale z kretesem zestarzały się poglądy sceptyka-entuzjasty Słonimskiego, który ongiś tak zabawnie pouczał rząd i M. S. Z. Rzeczypospolitej:

> „Prawdziwa i pogłębiona polityka sojuszu z Sowietami, doprowadzona aż do przejęcia wszystkich pozytywnych zdobyczy, jakich dopracowały się Sowiety, to najlepsza gwarancja pokoju i znaczenia politycznego Polski. Istotne porozumienie z hitlerowskiemi Niemcami jest niemożliwością, ale między Polską a Sowietami nie stoi nic na przeszkodzie prócz nałogów myślowych i nietolerancji politycznej".

Pan Otmar-Berson wieloletni korespondent „Gazety Polskiej" oczywiście nie puszcza się na dawanie dyspozycji Rzplitej, natomiast daje rzeczywistą rzeczywistość Sowietów bez przesadnego retuszu i bez szminkowania. Widzi przenikliwiej, głębiej i szerzej, niż przereklamowany Knickerbocker, nie mówiąc już o takim kiczarzu, jak ten Kitsch, więc też widzi z jakimi wysiłkami Rosja jednak wraca do Europy i wbrew całej potocznej frazeologji Marxowsko-religijnej burżuazieje. Lalki, jako zabawki dziecinne, wróciły, kanarki w klatkach, kosmetyczne salony, rewje mody i... płace akordowe, wszystkie drobno-kapitalistyczne i mało-mieszczańskie nałogi, popędy, metody, nawroty. Pan Otmar-Berson w swej książce o Sowietach nie zataja też, ile w tych nowych zdobyczach i wielkich sukcesach, czy to gospodarczych, czy oświatowych i obyczajowych jest *„samodurstwa"*, a ile *„oczkowtiratielstwa"*, nie zataja, jak bożek Mars wypiera na całej linji bożka Marxa i ile w tych mrowiskach szarych nędzy (i głodu), a ile we *„wierchuszce"* wśród mandarynów komedjanctwa. Entuzjazmuje się dość rzadko i skąpo, ale zawsze słusznie (militaryzm), a więc ostrzegawczo. Zdaje się, że ideał bezklasowego kollektywnego z a m a s o w a n e g o Człowieka już mu nie imponuje, aczkolwiek jeszcze p. Bersonowi imponuje np.... Radek i różni nowi wielcy uczeni w typie profesorów Przechwałkowa i Bleffowa... Tak dla niedoli kułaków, jak i dla polepszonej górującej sytuacji kobiety w Sowietach, p. Otmar ma wiele sympatji i... współczucia. Jeszcze więcej chwaliłby i nowe kanały i nowe Dnieprostroje, gdyby fabrykowano tam lepsze rondle, łopaty, szczotki. Bynajmniej nie zachwyca się kolejnictwem sowieckiem i... największym dyplomatą Rosji Stalinoskiej Wałlachem-Litwinowem.

Otmaroska podróż do dna Sowietów stoi więc na poziomie najlepszych publikacyj o nowej ludzkości i może stanąć godnie obok nie tak dawnej Michela Farbmana *(„The Economist"): „Piatiletki"* lub obok najnowszej Frederixa: *„Machines en Asie"*. Informuje i instruuje, poucza, bawi otwiera widok na szerokie perspektywy myślowe.

Feler jest tylko jeden właściwie, ale dość duży: zamało o żydach. I pod tym względem zawód. Zamało o nędzy mas żydowskich, a o potędze tych kilkunastu tysięcy, które obsiady szczyty, opanowały mózg i rządzą dzisiejszą Sowietarchją tak, jak rządziły w *„Octiabrze"* i w pierwszych latach, no i tak, jak rządzili ongiś Carstwem... Waregowie baronowie kurlandzcy, Niemcy wogóle. Wprawdzie p. Berson wyraźnie pisze:

> „antysemityzm w dodatku bardzo silny istnieje, ale nie na górze, lecz na dole. Niechby tylko władza popuściła cugli, zbledną obrazy wszystkich dotychczasowych pogromów"...

ale tego motywu szerzej nie rozwija i nim się nie zajmuje. Przyznaje tylko, że „prawą ręką" Stalina jest Kaganowicz, ale o Kaganowiczównie Dalili ani jednego słówka. W całkiem solidnej i sumiennej książce Otmara Bersona napróżno szukało się szczegółów o dość potwornej i wampirycznej supremacji żydów na Kremlu.

Wprost zdumiewa, że taki „Besserwisser", doskonale orjentujący się w dzisiejszości sowieckiej, uznał tę dzisiejszą hegemonję żydów na Kremlu za jakiś temat, czy punkt, drażliwy, czy nieprzyjemny i nie dał właśnie z tej dziedziny ciekawego nowego materjału informacyjnego.

W każdym razie i za to jesteśmy wdzięczni p. Bersonowi, który tak długo i tak starannie ukrywał się w „Gazecie Polskiej" pod przyłbicą Otmara (Kalifa O... t... mara?). Wzięło się do ręki książkę ot żeby wytropić... azefizmy i faryzeizmy, czy też przemycanie bezkrytycznej adoracji i potem, jak to mówią sympliści, „zerżnąć żyda, co się wlezie". A tu tymczasem miłe, zdaje się obopólne, rozczarowanie.

Lektura książki p. Otmara wskazuje, że jest to jedyny człowiek, który mógłby się podjąć epokowej pracy, bardzo ważnej przed nadchodzącą wojną „lokalną" między Sowietami a monarchją japońską! Otóż w interesie cywilizacji, wprost powiedzmy sobie kultury śródziemnomorskiej, czy indoeuropejskiej, czy jak tam, p. Berson powinien napisać gruby tom o opanowaniu Sowietów przez żydów wschodnich, czyli Chazarów. Otworzyć oczy Europie! Jest bowiem, jak to widać z jego książki, więcej Europejczykiem, jak *semita-natur*. Jest w całem tego słowa znaczeniu: człowiekiem Zachodu. Niechże więc broni tego Zachodu teraz przed Wschodem, czyli przed Chazarami, Waregami, którzy okupują całą wschod-Słowiańszczyznę.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Komitet organizacyjny grupy społeczno-literackiej Realistów Polskich wzywa nas do współpracy. Ale — wyznać musimy — odezwa nie jest porywająca. Choćby takie zdanie:

> „Tak, jak bogate są przejawy życia społecznego, tonące w mgławicach pojęć i programów politycznych, nie mogących wyprowadzić świata z obłąkanego chaosu klęsk i kataklizmów, staczającego się w niepohamowanej rejteradzie gdzieś na dno kryzysu, tak i literatura Polski współczesnej gubi się i grzęźnie w labiryncie kabalistycznych idej i poglądów, nie mogąc znaleźć sobie właściwych dróg, które pozwoliłyby jej wniknąć głęboko w życie i zrealizować s w o j e ideje twórcze".

Nie dobrze jest zaczynać tyradę od „tak jak", bo potem trudno z niej wybrnąć. „Przejawy życia" t o n ą c e w n i e m o g ą c y c h mgławicach s t a c z a j ą c e g o się chaosu, nie m o g ą c znaleźć sobie drogi... nie są — naszem zdaniem — „mogące" zasługiwać na nazwę „b o g a t y c h przejawów". Nie dość bowiem, że toną w mgławicach, ale jeszcze staczają się ze światem „w niepohamowanej rejteradzie na dno kryzysu". Djabli nadali. Jakiż realista w temby się rozeznał! Nie wiadomo, czy Dante w tem piekle potrafiłby „znaleźć sobie" właściwą drogę. Może jeden Kaden-Bandrowski.

*

Warszawa już wysanowana! „Kurjer Poranny" uderzył w drzwon reklamowy:

> „Już po krótkim okresie urzędowania nowych władz miejskich ludność stolicy z d o ł a ł a s i ę p r z e k o n a ć, że mur, którym poprzedni zarząd miejski odgrodził się od mieszkańców Warszawy, ich bolączek i potrzeb, wzniesiony był z materjałów najgoszego gatunku, takich jak: nieróbstwo, lenistwo, niechęć, brak inicjatywy i dobrej woli. Jednocześnie ludność przekonała się, że zarząd miejski f a c h o w y, zeleń zapału i dobrych chęci dokonać m o ż e rzeczy, które poprzednio uchodziły za niewykonalne".

Cud nad Wisłą! O „zapale" p. Kościałkowskiego świadczą cyfry zredukowanych urzędników magistratu. O fachowości dotąd „nie zdołaliśmy się przekonać".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.